

# GRANICE Z POPIOŁU

Osiem głosów z narodzin Rzeczypospolitej

Polska, Galicja Wschodnia, Białoruś, Paryż, Londyn

Listopad 1918 – październik 1922

*Narody nie rodzą się w traktatach. Rodzą się w okopach, na barykadach i w szpitalach polowych.*

— Józef Piłsudski, z przemówienia do żołnierzy, 1920

*Przez Polskę, po trupie białej Polski, wiedzie droga do światowego pożaru.*

— Michaił Tuchaczewski, rozkaz do Armii Czerwonej, lipiec

1920

*Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż mapa rysowana przez ludzi, którzy nigdy nie stąpali po ziemi, którą dzielą.*

— Przysłowie dyplomatyczne

## OD AUTORA

Książka, którą trzymasz w rękach, jest fikcją literacką osadzoną w twardej rzeczywistości historycznych. Wszystkie postacie są wymyślone, ale wydarzenia, daty, bitwy i miejsca, w których się poruszają, są prawdziwe. Tam, gdzie fakty milczały, pozwoliłem sobie na wyobraźnię — ale zawsze w granicach tego, co mogło się zdarzyć.

Lata 1918–1922 to okres, w którym Polska dosłownie wyłaniała się z niebytu. Po stu dwudziestu trzech latach rozbiorów nagle trzeba było nie tylko wywalczyć niepodległość, ale natychmiast ją obronić — na zachodzie, wschodzie i południu jednocześnie. To czas, w którym generałowie i dyplomaci podejmowali decyzje o losach milionów, a zwykli ludzie — żołnierze, pielęgniarki, sklepikarze, chłopci — ponosili tego konsekwencje.

Osiem dzienników, osiem perspektyw. Polski żołnierz z Legionów, pruski oficer w Poznaniu, młody bolszewik maszerujący na Warszawę, pielęgniarka spokrewniona z jednym z ojców polskiej niepodległości, francuski doradca wojskowy, ukraiński żołnierz walczący o marzenie, które się nie spełniło, żydowski sklepikarz obserwujący chaos ze swojego okna i brytyjski dyplomata komentujący wszystko z londyńskiego fotela. Każdy z nich widział te same wydarzenia inaczej. Każdy miał swoje racje i swoje złudzenia.

Pewne postacie mówią od czasu do czasu w swoim ojczystym języku — po niemiecku, rosyjsku, ukraińsku, francusku, angielsku czy w jidysz. Te wstawki celowo nie są tłumaczone. Obcość języka jest częścią doświadczenia tamtych czasów, kiedy na jednej ulicy można było usłyszeć pięć języków.

Ta książka nie jest podręcznikiem historii ani politycznym manifestem. Jest próbą oddania głosu ludziom, którzy zazwyczaj w podręcznikach nie mają imion. Dedykuję ją wszystkim, którzy w tamtych latach żyli, walczyli i — nierzadko — ginęli, niezależnie po której stronie granicy się znajdowali.

## NOTA WYDAWCY

Pocket Memoirs powstało z osobistego projektu zgłębiania historii bitwy pod Chosin Reservoir — i odkrycia, że to dobry i przystępny sposób na poznawanie wydarzeń historycznych. Treści są tworzone zarówno przez ludzi, jak i z pomocą sztucznej inteligencji; staramy się oferować to, co najlepsze z obu światów. Wszystkie postacie są fikcyjne, wydarzenia — nie. Dokładamy wszelkich starań, by zachować historyczną rzetelność, lecz jeśli zauważysz jakiegokolwiek nieścisłości, napisz do nas: [contact \(at\) pocketmemoirs \(dot\) com](mailto:contact(at)pocketmemoirs(dot)com).

---

Uwaga: realia historyczne przedstawione w tych książkach nie zawsze są odpowiednie dla nieletnich. Wszystkie treści na tej stronie należy uznać za nieodpowiednie dla młodszych czytelników. Rodzicom i opiekunom zalecamy zapoznanie się z materiałem przed udostępnieniem go dzieciom.

## SPIS TREŚCI

<b>1</b>	<b>Szeregowy Stanisław Wilk</b>	<b>1</b>
<b>2</b>	<b>Oberleutnant Heinrich Bremer</b>	<b>8</b>
<b>3</b>	<b>Krasnoarmiejec Siergiej Pietrowicz Wołkow</b>	<b>13</b>
<b>4</b>	<b>Zofia Dmowska</b>	<b>19</b>
<b>5</b>	<b>Capitaine Étienne Moreau</b>	<b>25</b>
<b>6</b>	<b>Strzelec Wasyl Hnatiuk</b>	<b>31</b>
<b>7</b>	<b>Chaim Rozenberg</b>	<b>37</b>
<b>8</b>	<b>Sir Arthur Pemberton, KCMG</b>	<b>46</b>

## SZEREGOWY STANISŁAW WILK

5. Pułk Piechoty Legionów, potem 1. Dywizja Piechoty Legionów

*Powiadają, że za ojczyznę warto umrzeć. Ja wolalbym za nią żyć, ale kiedy przyszło co do czego, wziąłem karabin jak każdy.*

### **3 LISTOPADA 1918**

Siedzę w chacie gdzieś w Galicji i słucham, jak przez ścianę Austriacy kłócą się, czy Kaiser jeszcze jest Kaiserem. Od tygodnia nikt nie wydaje sensownych rozkazów. Mój oficer, porucznik König, rano kazał czyścić karabiny, a po południu sam siedział w kącie i wpatrywał się w ścianę. Coś w nim pękło — widać to po oczach.

Podobno Berlin się pali, Wiedeń się sypie, a front zachodni puścił jak stara tama. Chłopaki z drugiego plutonu mówią, że to koniec — że wojna się skończy lada dzień i pójdziemy do domów. Ja w takie obietnice nie wierzę, dopóki nie zobaczą na własne oczy podpisu na papierze. Nauczyłem się przez cztery lata, że w armii plotka biega szybciej niż kula, ale trafia celnie rzadziej. Czekamy więc. Czekamy, palimy papierosy, których coraz mniej, i patrzymy na niebo, które jest obojętne na nasze losy.

### **11 LISTOPADA 1918**

Kraków. Rozejm podpisany. Polska jest wolna.

Piszę to i sam nie mogę uwierzyć — ręka drży, atrament się rozmazuje. Flagi biało-czerwone na każdym domu, ludzie płaczą na ulicach, obejmują się obcy z obcymi, śpiewają Mazurka ochrypłymi głosami. Jakaś babka dała mi bochenek chleba i pocałowała w rękę. Powiedziała: «Synku, dożyłam». Miała chyba ze osiemdziesiąt lat i płakała jak dziecko.

A ja stoję pośrodku tego wszystkiego i myślę: no dobrze, jest Polska. I co teraz? Bo radość radością, ale za tydzień okaże się, że trzeba mieć rząd, armię, granice, pieniądze, i że każdy sąsiad chce kawałek tego, co właśnie się urodziło. Matka zawsze mówiła, że najgorszy moment to tuż po weselu, kiedy trzeba zacząć żyć razem. Z Polską będzie tak samo.

Ale dzisiaj pozwolę sobie być szczęśliwy. Choćby na godzinę.

## **21 LISTOPADA 1918**

Lwów. Jesteśmy tu od trzech dni i to jest piekło, o którym nikt mnie nie ostrzegął. Ukraińcy trzymają pół miasta, my drugie pół, a pomiędzy nami każda ulica jest linią frontu. Strzelają z okien, z dachów, zza barykad skleconych z mebli i wyrwanych kamieni. Noc jest najgorsza — odgłosy wystrzałów i krzyki nie milkną ani na moment, i człowiek leży na podłodze jakiejś kamienicy z karabinem przyciśniętym do piersi i próbuje nie myśleć.

Dzisiaj widziałem coś, czego nie zapomnę do końca życia. Chłopak, może czternaście lat, z karabinem prawie wyższym od siebie. Orłę lwowskie — tak ich nazywamy. Stał na rogu ulicy i strzelał z precyzją doświadczonego żołnierza. Kiedy dostał w ramię, nawet nie pisnął. Zawiązałem mu ranę — patrzył na mnie oczami starca. Czternaście lat i oczy starca. Kto zabrał tym dzieciakom dzieciństwo?

## **5 GRUDNIA 1918**

Lwów oblężony z trzech stron. Zaopatrzenie nie przechodzi — Ukraińcy odcięli drogi, kolej nie działa. Jemy co popadnie: chleb twardy jak deska, zupę z kartofli tak starych, że same by się ugotowały ze wstydu.

Wody brakuje — nosimy ją z Pełtwi, pod ostrzałem, w widrach podziurawionych jak sito.

Dwóch chłopaków z mojego plutonu zmarło na tyfus. Leżą gdzieś w piwnicy, czekając na pogrzeb, którego może nie będzie. Wszyscy się gdzieś dziewa, jakby wsiąkli w ruiny. Najgorsze są noce — w ciemnościach słyszać kroki na dachach, to snajperzy. Jeden strzał, cisza, potem ktoś jęczy. Siedzę przy oknie z karabinem i myślę, że trzy tygodnie temu świętowaliśmy wolność. Trzy tygodnie. A teraz walczymy o jedno miasto, jak szczury w norze. Ironia jest tak gruba, że mogłoby się nią murować.

### **18 STYCZNIA 1919**

Odsiecz! Wreszcie! Od rana słyszać kanonadę od zachodu, a po południu na ulicach pojawiają się nowe mundury, nowe twarze. Polskie oddziały przebijają się do Lwowa. Jedni płaczą z ulgi, inni śmieją się historycznie, sierżant Kowalczyk uklęknął na bruku i modlił się głośno.

Ukraińcy cofają się, ale powoli i zaciekle — każdy dom oddają za cenę krwi, każde podwórko to osobna bitwa. Straty okropne po obu stronach. Widziałem rzeczy, o których nie chcę pisać i których nie chcę pamiętać, ale które i tak będą mi się śniły do końca życia. Lwów uratowany. Ale kiedy patrzę na gruzy i na twarze ludzi, którzy tu przeżyli ostatnie tygodnie, zwycięstwo smakuje jak popiół. Miasto jest wolne, ale cena — Boże, ta cena.

### **10 MAJA 1919**

Front ukraiński ciągnie się jak guma do żucia. Raz przesuwamy się na wschód, raz cofamy, a w sumie sterczymy w miejscu i marnujemy ludzi. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem dłużej niż trzy godziny. Moja lewa noga to drewniany klocek, który noszę ze sobą z przyzwyczajenia — nie czuję jej od tygodnia.

Piłsudski podobno ma jakiś wielki plan. Federacja, sojusz z Petlurą, bufor przeciw Rosji — wielkie słowa na wielkich mapach. Dla nas, szere-

gowych, plan wygląda prosto: idź tam, strzelaj, nie pytaj. Oficerowie mówią o strategii, a my myślimy o suchych skarpetach i gorącej strawie. Jak to w armii — góra myśli, dół cierpi. Ale przyznać muszę, że jest w tych ludziach coś, co każe im wstawać rano i iść dalej. Może nie wiara — ale upór.

## **28 KWIETNIA 1920**

Wyprawa kijowska. Piłsudski chce wyzwolić Ukrainę w sojuszu z atamanem Petlurą — przynajmniej tak to nazywa propaganda. Maszerujemy na wschód, przez Wołyń, przez błoto po kolana, przez wsie, w których ludzie patrzą na nas z mieszanką nadziei i podejrzliwości. Jedni witają nas chlebem i solą, drudzy zamykają okiennice i czekają, aż przejdziemy.

Cynizm mi podpowiada, że branie miast jest łatwą częścią — utrzymanie ich to zupełnie inna historia. Napoleon też brał Moskwę. Jak mu poszło, każdy wie. Ale rozkaz jest rozkaz, a żołnierz nie dyskutuje ze strategią — żołnierz maszeruje. Buty się rozłażą, plecak cięży jak diabli, pogoda jest taka, że nawet muchy narzekają. Ale idziemy do przodu, bo iść do tyłu nie było w rozkazie.

## **18 LIPCA 1920**

Odwrót. Słowo, które smakuje jak żółć i żelazo. Bolszewicy kontratakowali z taką siłą, że nasze linie pękły jak suche patyki pod butem. Tuchaczewski, ten sowiecki wunderkind, ma podobno dwadzieścia siedem lat i prowadzi armię, która nas miażdży.

Cofamy się dzień za dniem, noc za nocą. Mińsk stracony, Wilno stracone, Grodno pewnie zaraz padnie. Chłopaki giną — szybko i nieładnie. Kapral Stasiak z Sanoka, ten wesoły Stasiak, co śpiewał wieczorami przy ognisku, dostał w brzuch trzy dni temu. Umierał dwanaście godzin, wołając matkę. Trzymałem go za rękę, bo nic innego nie mogłem zrobić.

Nie da się tego opisać. Nie da się tego zapomnieć. Nie da się z tym żyć, a jednak żyjemy dalej.

Czy to koniec Piłsudskiego? Koniec Polski? Nie wiem.

## **5 SIERPNIĄ 1920**

Pod Warszawą. Okopujemy się na przedmieściach, na ostatniej linii. Jeśli tu padniemy, padnie wszystko — Polska, która ma niecałe dwa lata, skona w kołysce.

Strach jest fizyczny — czuję go na języku jak smak metalu, czuję w trzęsących się rękach, kiedy ładuję karabin. I nie wstydzę się tego trzęsienia, bo trzęsie się wszystkim. Ale jest coś jeszcze obok strachu — jakaś uparta, żylasta determinacja, której nie potrafię nazwać. Jakby te dwa lata walk, te trupy, te marsze, nie mogły pójść na marne. Ochotnicy napływają tysiącami: robotnicy, studenci, urzędnicy, nawet księża biorą karabiny. Coś się krystalizuje w tym strachu — coś większego niż ja, niż mój pluton, niż ten okop. Historycy potem opiszą to pięknymi słowami. My po prostu stoimy i czekamy.

## **16 SIERPNIĄ 1920**

**PIŁSUDSKI UDERZYŁ!**

Kontruderzenie z południa, znad Wieprza, dokładnie tam, gdzie nikt się nie spodziewał! Mówią, że nasi kryptolodzy złamali sowieckie szyfry radiowe — wiedzieliśmy, gdzie są luki, zanim sam Tuchaczewski się zorientował. Armia Czerwona, ta potężna machina, która wyglądała jak koniec świata, zaczyna pękać.

Nas podnieśli do ataku. Biegniemy do przodu i nie wierzę w to, co widzę: Sowieci uciekają. Uciekają! Chaos w ich szeregach, oficerowie zniknęli, całe bataliony się rozpadają. Widzę, jak rzucają broń, plecaki, wszystko — i po prostu biegną na wschód. Jeszcze tydzień temu ci sami ludzie wyglądali jak niezwyciężona siła.

Czy my wygrywamy? Czy to naprawdę się dzieje? Piłsudski, ty cholerny szalony geniuszu.

### **23 WRZEŚNIA 1920**

Bitwa niemeńska. Ścigamy resztki bolszewików na wschód, przez lasy i bagna, przez ziemię niczyją. Są już rozbici, ale walka jeszcze trwa, bo Piłsudski chce mieć mocną pozycję do negocjacji pokojowych.

Energia niesie nas jakaś dziwna — po miesiącach strachu, odwrotu i rozpaczony nagle okazuje się, że można wygrać. Że Polska nie tylko istnieje, ale potrafi walczyć i zwyciężać. Nie powiem, żebym nagle stał się patriotycznym poetą — cynik we mnie żyje i ma się dobrze. Ale nawet cynik musi przyznać, że to, co się stało pod Warszawą, było czymś niezwykłym. Ludzie będą o tym opowiadać wnukom. Cud nad Wisłą. Ja żadnego cudu nie widziałem. Widziałem zmęczonych ludzi, którzy nie chcieli się poddać. Ale może właśnie na tym cud polega.

### **22 MARCA 1921**

Traktat ryski podpisany. Koniec. Granice ustalone, wojna skończona, demobilizacja w toku. Wracam do domu — a właściwie do domu, którego jeszcze nie mam, bo jakiś dom trzeba sobie najpierw zbudować.

Pod Lwowem kupuję kawałek ziemi i otwieram warsztat stolarski. Że-nię się z Marią, córką piekarza z sąsiedztwa — ładna, ciepła, nie zadaje głupich pytań. Robię szafy, stoły, meble dla zwykłych ludzi. Ręce, które trzy lata trzymały karabin, teraz trzymają dłuto, i muszę powiedzieć, że dłuto leży w nich dużo lepiej.

Ale wieczorami siadam na progu warsztatu i patrzę w dal. I myślę o tych wszystkich, którzy nie wrócili. O Staśku z Sanoka. O Orłętach lwowskich. O tym czternastolatku, którego opatrywałem. Polska jest wolna. Ależ to była droga.

*Stanisław Wilk przeżył wojnę i osiadł pod Lwowem, gdzie otworzył warsztat stolarski. Ożenił się z Marią Szymańską, córką piekarza — mieli trzech synów. Przez dwie dekady robił meble, które stały w połowie domów w okolicy, i starał się nie myśleć o wojnie. W 1939 roku powołano go ponownie — kampania wrześniowa, potem konspiracja w Armii Krajowej. Jeden z synów zginął w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie Wilk jako żołnierz AK trafił do sowieckiego łagru na cztery lata. Wrócił złamany, ale nie do końca — do śmierci w 1973 roku naprawiał meble na czarno i opowiadał wnukom o Lwowie, o Orłętach, o Cudzie nad Wisłą. Dziennik odnalazł wnuk, nauczyciel historii, w szufladzie starego kredensu, i doprowadził do jego publikacji w lokalnej prasie.*

## OBERLEUTNANT HEINRICH BREMER

Grenzschutz Ost, garnizon Poznań

*Mein Vater sagte immer: Ordnung muss sein. Aber hier in  
Posen gibt es keine Ordnung mehr.*

### **9 LISTOPADA 1918**

Kaiser abdykował. Piszę to i ręka mi drży tak, że ledwo trzymam pióro. Pokolenia Hohenzollernów, cały porządek, na którym stał świat — i nagle pustka. Rewolucja w Berlinie, czerwone flagi na ulicach, rady robotnicze przejmują władzę. Mein Gott, to jest koniec wszystkiego, co znaliśmy.

W Poznaniu jeszcze spokojnie, ale czuję, jak grunt trzęsie się pod nogami. Polacy patrzą na nas inaczej niż tydzień temu — nie ze strachem, ale z czymś nowym, czekającym. Jakby wyczuwali moment. A my, garnizon Grenzschutz Ost, siedzimy w koszarach i udajemy normalność. «Ordnung muss sein», mawiał ojciec. Ale jaki tu porządek, kiedy sam cesarz uciekł do Holandii jak złodziej przez kuchenne drzwi?

### **25 LISTOPADA 1918**

Przeniesienie do Grenzschutz Ost. Major von Steffen, nowy dowódca, to stary pruski żołnierz z wąsami jak u Bismarcka i manierami z poprzedniego stulecia. Próbuje trzymać dyscyplinę — apele, inspekcje, meldunki — ale słyhać, że sam nie wierzy w to, co mówi. Głos mu cichnie z dnia na dzień.

Polacy organizują się otwarcie, bez ukrywania. Wiece, polskie pieśni na ulicach, biało-czerwone flagi w oknach. Wczoraj w karczmie pod Złotym Lwem dwóch Polaków głośno dyskutowało o «wyzwoleniu spod pruskiego jarzma». Głośno, nie szeptem. Rok temu za takie słowa czekał areszt. Dziś nasz patrol przeszedł obok, jakby nie słyszał. Czuję, jak zmienia się powietrze w tym mieście. Zmienia się na naszą niekorzyść.

### **15 GRUDNIA 1918**

Napięcie rośnie z każdym dniem jak ciśnienie w kotle parowym. Polskie organizacje wojskowe działają jawnie — szkolenia, zbiórki broni, przygotowania. Przeprowadziliśmy inspekcję arsenału: na papierze się zgadza, ale papier w tych czasach nie jest wart atramentu, którym go zapisano.

Berlin milczy. Trzy depeze — prośby o instrukcje, posiłki, cokolwiek. Odpowiedź: cisza. Republika Weimarska boryka się ze Spartakusbun-dem, strajkami, głodem i własnymi rewolucjami. Co ją obchodzi garnizon na peryferiach? Jesteśmy jak załoga zapomniany fortecy. Von Steffen wieczorami pije coraz więcej brandy — nie winię go, sam bym pił, gdybym nie musiał trzeźwo patrzeć na mapy, które z każdym dniem wyglądają gorzej.

### **26 GRUDNIA 1918**

Paderewski przyjechał do Poznania. Światowej sławy pianista, człowiek, którego szanuje Clemenceau i podziwia Wilson, wjechał jak triumfator. Tłumy na ulicach — tysiące ludzi, morze polskich flag, hymn, euforia. Obserwuję to z okna koszar i czuję się jak człowiek, który ogląda własny pogrzeb z pierwszego rzędu.

Polacy mają teraz symbol. Człowieka, którego imię zna cały świat. My mamy majora z wąsami jak u morsa i garść żołnierzy, którym morale spadło poniżej poziomu piwnicy. Każdy oficer z odrobiną rozumu wie,

co będzie dalej. Pytanie nie brzmi «czy», tylko «kiedy». I «kiedy» jest bliżej, niż chciałbym.

### **27 GRUDNIA 1918**

Powstanie! Polacy uderzyli rano z zaciekłością, jakiej nie widziałem na żadnym froncie Wielkiej Wojny — a byłem pod Verdun. Barykady na ulicach, strzały z okien, butelki z benzyną. Plac Wilhelmowski — jutro go pewnie przemianują — zamienił się w pobojozwisko.

Straciłem trzech ludzi. Schröder, Fischer i młody Hartmann, dziewięćnaście lat, dziewczyna w Dreźnie. Pisał do niej listy co wieczór. Fischer umarł od razu — kula w skroń. Hartmann skonał w drodze do szpitala, trzymając mnie za rękę. Za co? Za porządek, który się skończył? Za cesarstwo, które uciekło? Nie mam odpowiedzi, ale walczę dalej, bo rozkaz jest rozkaz i nic więcej mi nie zostało.

### **31 GRUDNIA 1918**

Sylwester w piekle. Gdzieś na świecie ludzie piją szampana. Ja siedzę za workami z piaskiem na Wilhelmstrasse i słucham, jak kule śpiewają nad głową.

Polacy kontrolują coraz więcej ulic. Nasza enklawa kurczy się z dnia na dzień — patrzę na mapę i widzę, jak plamy naszych pozycji zanikają jak kałuże na letnim słońcu. Von Steffen wydał rozkaz obrony za wszelką cenę, ale jaka cena, kiedy Berlin nawet nie odbiera depesz? Czuję się jak kapitan tonącego statku, którego armator porzucił na brzegu.

Margarethe pisze, że w Berlinie też niepokoję. Boże, żeby chociaż ona i Wilhelm byli bezpieczni. To jedyne, o co jeszcze proszę.

### **8 STYCZNIA 1919**

Polacy kontrolują Poznań. My trzymamy koszary i kilka budynków — wysepki w morzu, które z każdą godziną jest wyższe. Depesze do Berli-

na: posiłki, amunicja, rozkazy. Odpowiedź wreszcie przyszła: «Radźcie sobie, Niemcy mają inne problemy». Danke schön.

Ordnung. To słowo było fundamentem, na którym stał pruski świat. Teraz jest pustym dźwiękiem, ironią. Margarethe pyta w listach, kiedy wrócę. Jak jej wytłumaczyć? Że bronimy pozycji bez sensu? Że walczymy o miasto, które już nie jest nasze, dla państwa, które samo nie wie, czym jest? Że stary świat umarł i nowy rodzi się z krzykiem, a my stoimy po złej stronie?

## **20 STYCZNIA 1919**

Ostatni kontratak. Dwie kompanie, ledwie sto pięćdziesiąt ludzi, połowa rannych. Uderzyliśmy na polskie pozycje przy ratuszu. Odrzucili nas w godzinę.

Mieli więcej ludzi, więcej amunicji i coś, czego my nie mamy — wiarę, że walczą o coś, co się rodzi. My walczyliśmy o coś, co umarło. Straciłem Kellera i Brauna. Keller miał żonę i troje dzieci w Królewcu, pisał do nich co niedzielę. Teraz nie napisze. A ja muszę napisać za niego — ten list, którego nikt nie chce pisać i nikt nie chce dostawać. Siadam wieczorem przy świeczce i szukam słów, których nie ma.

## **1 LUTEGO 1919**

Piszę list do Margarethe. Pewnie ostatni.

«Meine liebste Margarethe, jeśli ten list do Ciebie dotrze, a ja nie wrócę, wiedz, że robiłem to, co uważałem za słuszne. Nie byłem bohaterem — byłem oficerem, który wykonywał obowiązek. Wychowaj Wilhelma na porządnego człowieka. Nie na żołnierza — na porządnego człowieka. Powiedz mu, że ojciec nie nienawidził Polaków. Powiedz, że historia ma prawa, których nie rozumiemy, i czasem stoi się po stronie, która przegrywa. A przegrać nie znaczy nie mieć racji. Choć może i znaczy — już nie wiem.»

Zakleiliśmy kopertę i oddaliśmy sanitariuszowi jadącemu na zachód. Niech Bóg sprawi, żeby dojechał.

## **12 LUTEGO 1919**

Ostatni wpis. Jutro wychodzimy z Poznania, kolumna na Rawicz. Von Steffen idzie prosto, z podbródkiem do góry, jak na defiladę. Nie lubię tego człowieka, ale szanuję go za to. W każdym końcu jest godność, jeśli się ją potrafi znaleźć.

Mam złe przeczucia. Ale co zmienia przeczucie? Żołnierz idzie, bo mu kazano. Ordnung muss sein — nawet w chaosie, nawet w klęsce, nawet na końcu. To jedyne, co zostało: porządek i ten dziennik.

Jeśli ktoś to czyta — byłem pruskim oficerem, Heinrich Bremer, Oberleutnant. Nic więcej. Nic mniej.

*Oberleutnant Heinrich Bremer zginął 14 lutego 1919 roku od odłamka artyleryjskiego pod Rawiczem, w ostatnich dniach Powstania Wielkopolskiego. Żona Margarethe w Berlinie dowiedziała się o śmierci sześć tygodni później z urzędowego zawiadomienia. Syn Wilhelm dorósł bez ojca, w państwie, które z cesarstwa zmieniło się w chwiejną republikę. Margarethe przechowywała dziennik męża do końca życia. Prawnuczka Heinricha odnalazła go w 2005 roku — wspólna polsko-niemiecka publikacja ukazała się w 2007 roku jako świadectwo epoki, w której stary porządek nie wytrzymał naporu nowego świata.*

# KRASNOARMIEJEC SIERGIEJ PIETROWICZ WOŁKOW

XVI Armia, Front Zachodni Michaiła Tuchaczewskiego

*Мы несём свободу. Так нам сказали. Но свобода почему-то  
пахнет порохом и пустым желудком.*

## **5 WRZEŚNIA 1919**

Zmobilizowali mnie w Twerze. Przyszli rano — dwóch żołnierzy i komisarz w skórzaney kurtce, z takim wyrazem twarzy, jakby robili mi łaskę. Powiedzieli, że odtąd jestem krasnoarmiejcem, że bronię rewolucji i przyszłości ludzkości. Duże słowa jak na chłopaka z fabryki tekstylnej, który do zeszłego tygodnia kręcił szpulki za grosze.

Matka stała w drzwiach i płakała bez głosu — nawet nie próbowała mnie zatrzymać, bo w Rosji nie zatrzymuje się armii. Komisarz klepnął mnie po ramieniu: «Не плачь, мать, твой сын вернётся героем». Bohaterem. Ja, Sierioża Wołkow, bohater. Wsiedliśmy do wagonu towarowego — siedemnastu chłopaków z Tweru, cuchnący potem i strachem, i żaden nie wiedział, dokąd jedzie ani po co.

## **18 GRUDNIA 1919**

Szkolenie w Smoleńsku to piekło zorganizowane według regulaminu. Bito nas za wszystko — za krzywy krok, za guzik nie do końca dopięty,

za westchnienie w złym momencie. Sierżant Korobczenko jest człowiekiem, który nienawidzi rodzaju ludzkiego, a nas w szczególności. Żarcie to kasza na wodzie i chleb dzielony na pięciu — czerstwy, szary, ale zjadłbyś go z ziemią.

Wieczorami przychodzi komisarz polityczny i opowiada o rajach na ziemi, który budujemy. Że nie będzie wyzysku, głodu, panów i chłopów. Chłopaki słuchają z otwartymi ustami, bo jest ciepło przy jego lampie naftowej, a na dworze minus dwadzieścia. Czy wierzę? Nie wiem. Chcę wierzyć. Wiara jest łatwiejsza niż myślenie. A myślenie tu jest niebezpieczne.

## **2 MARCA 1920**

Front. Zobaczyłem pierwszych Polaków — uzbrojeni, brudni, zmęczeni, wyglądający dokładnie tak samo jak my. Strzelaliśmy do siebie przez godzinę przez jakiś las sosnowy. Drzewa trzaskały od kul, igły spadały jak zielony deszcz, a my leżeliśmy twarzami w błocie i próbowaliśmy się nie wychylać.

Misza z Riazania, chłopak z mojego oddziału, dostał w ramię. Krzyczał tak, że ptaki uciekły z drzew — ten odgłos będzie mi się śnił. Komisarz mówi, że Polacy to wrogowie ludu, pańskie pacholki. Ale kiedy patrzę na nich przez celownik, widzę chłopaków takich jak ja — daleko od domu, w mundurach, które im nie pasują, ze strachem w oczach. Jaka klasa robotnicza? To po prostu ludzie, którzy nie chcieli tu być. Jak my.

## **2 LIPCA 1920**

Wielka ofensywa! Tuchaczewski wydał rozkaz natarcia na całym froncie — ten młody generał, rok starszy ode mnie, wodzi armię jak szachista pionkami. Propaganda krzyczy: «На Варшаву! Через труп белой Польши — дорога к мировому пожару!» Pożar. Ładne słowo na plakat, mniej ładne, kiedy biegniesz z trzydziestokilowym plecakiem przez błoto, w butach, które już nie są butami.

Nacieramy na zachód szybko, bardzo szybko. Polacy cofają się, zostawiając sprzęt, amunicję, czasem nawet jedzenie. Niektórzy mówią, że za tydzień będziemy w Warszawie, za miesiąc w Berlinie. Wtedy rewolucja ogarnie cały świat i wrócimy do domów. Домой. Boże, jak ja chcę do domu. Do matki, do Tweru, do normalnego życia, którego chyba już nigdy nie będzie.

## **12 LIPCA 1920**

Mińsk zdobyty. Wchodzimy do miasta prawie bez walki — Polacy wycofali się, zostawiając puste koszary i puste ulice. Ludzie patrzą z okien, milczą. Nie witają nas jak wyzwolicieli, ale nie strzelają — to już coś.

Miasto jest zrujnowane: domy podziurawione kulami, cmentarz rozorany pociskami, na rynku leży zdechły koń, którego nikt nie sprzątnął od tygodnia. Smród jest taki, że trzeba oddychać przez chustkę. Komisarz wygłasza mowę o wyzwoleniu białoruskiego proletariatu — proletariats stoi z boku i nie komentuje. Euforia w sztabie: mapy rozkładają jak zastawione stoły. Warszawa tu, Berlin tam, rewolucja o tyle a tyle kilometrów. Ja jem pierwszy gorący posiłek od trzech dni i staram się o niczym nie myśleć.

## **25 LIPCA 1920**

Wilno, Grodno za nami. Idziemy na zachód jak lawina, która sama nie wie, dokąd zmierza. Polska chyba naprawdę pada — cofają się na całej linii, zostawiają wszystko. W jednej wsi znaleźliśmy polską kuchnię polową z gorącym bigosem. Jedliśmy go łapczywie, palcami, prosto z kotła, popychając się łokciami. Bigos wroga smakuje tak samo jak swój — ciepło jest ciepłem.

Ale zmęczenie sięga kości. Maszerujemy po dwadzieścia, trzydzieści kilometrów dziennie. Buty się rozłażą, stopy krwawią, plecaki ciążą jak grzechy. Wielu chłopaków choruje — biegunka, gorączka, wszy. Говорят,

что победа близко. Ale dlaczego zwycięstwo tak boli? I dlaczego nikt nie pyta, co będzie po zwycięstwie?

### **I SIERPNIA 1920**

Brześć zdobyty! Polska jest na kolanach — jeszcze kilka dni i będziemy pod Warszawą. Komisarz mówi o Polrewkomie, Tymczasowym Komitecie Rewolucyjnym w Białymstoku, który będzie rządzić polskim proletariatem po naszym zwycięstwie. Na papierze brzmi pięknie.

Ale coś jest nie tak i każdy, kto ma oczy, to widzi. Zaopatrzenie nie dochodzi od tygodnia. Pociągi stoją gdzieś za Mińskiem — tory zerwane, mosty wysadzone, magazyny puste. Nie mamy chleba, amunicji po dwadzieścia naboju na głowę, buty się dosłownie rozpadają. Generałowie pędzą nas do przodu, ale tyły zostały setki kilometrów z tyłu. Na mapach w sztabie wyglądamy wspaniale — czerwone strzałki sięgają Warszawy. W okopach wyglądamy jak zombi.

### **10 SIERPNIA 1920**

Pod Warszawą. Widzę ją na horyzoncie — dachy, wieże kościołów, kominy fabryczne. Kilka kilometrów. Ale tych kilku kilometrów nie potrafimy przejść.

Brak chleba trzeci dzień z rzędu. Amunicji na dwie salwy, potem kamienie. Przeszukujemy ciała zabitych — swoich i polskich — szukając magazynków, chleba, skarpetek, czegokolwiek. Misza z Riazania teraz ma gorączkę i mający w namiocie, którego nie ma. Nie ma lekarza, nie ma szpitala, nie ma nic prócz głodu i karabinów bez amunicji.

Tuchaczewski rozsyła rozkazy: atakować, atakować, zawsze atakować. Але чем атаковать, товарищ маршал?

### **14 SIERPNIA 1920**

Czekamy w okopach i nikt nam nie mówi, co się dzieje. Artyleria grzmi gdzieś na południu — inaczej niż zwykle, głębiej, bliżej. Jesteśmy szere-

gowcami, mięsem armatnim, informacje są dla oficerów, a oficerowie albo nie wiedzą, albo nie mówią.

Słyszysz się plotki, że Piłsudski coś szykuje — że ściąga wojska z południa, że planuje uderzenie. Nasz komisarz mówi, że to błąd, że Polacy nie mają sił. Ale widzę jego oczy — ten sam komisarz, który pod Mińskiem krzychał o zwycięstwie, teraz mówi ciszej i rozgląda się, jakby szukał drogi ucieczki. Siedzę w okopie i patrzę na sierpniowe niebo. Jest czyste i piękne. Dziwne, że niebo wygląda tak samo nad umierającymi jak nad żywymi.

### **16 SIERPNI 1920**

POLACY UDERZYLI Z FLANKI! Panika! Chaos! Nikt nie wie, gdzie front — front jest wszędzie i nigdzie. Strzały z każdej strony, oficerowie krzyczą sprzeczne rozkazy: atakować! wycofać się! trzymać! Trzymać co?

Biegnę razem ze wszystkimi — nie wiem dokąd, po prostu biegnę. Armia, ta wielka, potężna Armia Czerwona, ta machina, która miała wyzwolić świat, rozpada się jak domek z kart. Cały batalion obok nas rzuca broń i po prostu szedł na wschód, bez słowa, bez rozkazu. Komisarz strzelił do jednego dezertera, potem schował pistolet i sam zaczął iść. To jest koniec. Wszyscy to wiedzą. Nikt tego nie mówi, ale wszyscy to wiedzą.

### **18 SIERPNI 1920**

Odwrót. Maszerujemy przez noc, przez dzień, znowu przez noc. Nikt nie wie, dokąd — po prostu na wschód. Jednostki się pomieszały: idę obok ludzi, których w życiu nie widziałem, z pułków, o których nie słyszałem. Oficerowie zniknęli. Komisarz zdjął skórzaną kurtkę i wygląda teraz jak zwykły żołnierz — cwaniak, chce się wtopić w tłum.

Wokół mnie ludzie padają z głodu i wyczerpania. Leżą na drodze i nikt ich nie podnosi. Nogi mam takie, że każdy krok to oddzielne piekło.

Misza z Riazania został gdzieś w tyle — nie miał siły iść, usiadł pod drzewem i zamknął oczy. Nie wiem, czy żyje.

Muszę dotrzeć do domu. Muszę dotrzeć do matki. Мама, прости.

## **19 SIERPNIĄ 1920**

Конец.

*Siergiej Wołkow zginął 20 sierpnia 1920 roku pod Mławą, podczas chaotycznego odwrotu XVI Armii. Okoliczności śmierci niejasne — kula polska lub strzał zagradozielajów, którzy próbowali siłą utrzymać porządek w uciekającym tłumie. Dziennik znaleziony przy ciele przez polskiego żołnierza trafił do archiwum wojskowego w Warszawie. Matka w Twerze nigdy nie dostała oficjalnego zawiadomienia — był jednym z dziesiątków tysięcy bezimiennych strat kampanii 1920 roku. Dziennik odkryty w latach dziewięćdziesiątych przez polskiego historyka, opublikowany jako rzadkie świadectwo zwykłego żołnierza po sowieckiej stronie.*

## ZOFIA DMOWSKA

Ochotnicza pielęgniarka Czerwonego Krzyża, potem szpital polowy 1. Armii

*Kuzyn Roman budował Polskę w paryskich salonach. My  
budowaliśmy ją bandażami i morfiną.*

### **9 LISTOPADA 1918**

Warszawa oszalała ze szczęścia. Wyszłam na Krakowskie Przedmieście i wpadłam w tłum, który śpiewał, płakał i tańczył jednocześnie. Jakaś obca kobieta złapała mnie za ręce i kręciliśmy się w kółko jak małe dziewczynki — dwie dorosłe kobiety wirujące na ulicy jak szalone, a wokół nas tysiące takich samych szaleńców. Polska jest wolna!

Wieczorem przy kolacji mama wspomniała o kuzynie Romanie. Roman Dmowski — ten sam, z którego stryjeczna matka jest moją babką — siedzi teraz w Paryżu i walczy o polskie granice na konferencji pokojowej. Mama mówi o nim z dumą taką, jakby on sam bronił Warszawy z karabinem. Ja myślę: on tam negocjuje przy koniaku, a tu na ulicach leżą ranni z walk o rozbrojenie garnizonu. Dwa światy, jedna Polska.

### **16 LISTOPADA 1918**

Euforia mija, rzeczywistość puka do drzwi butem. Warszawa jest wolna, ale szpitale pękają w szwach — ranni z potyczek ulicznych, ofiary grypy hiszpanki, ludzie niedożywieni po czterech latach wojny. Widziałam

wczoraj kolejkę po chleb, ciągnącą się przez dwie ulice, i babkę, która zemdlała w tej kolejce, a nikt nie miał siły jej podnieść.

Myszę o zgłoszeniu się na ochotniczkę do Czerwonego Krzyża. Matka będzie przeciwna — «Zosia, to nie zajęcie dla panienki z dobrego domu» — ale ja widziałam, co dzieje się w szpitalach, i nie potrafię siedzieć z założonymi rękami. Kuzyn Roman buduje Polskę dyplomacją w salonach Paryża. Ja zbuduję ją bandażami, jeśli tak trzeba. Ktoś musi.

### **3 STYCZNIA 1919**

Zgłosiłam się. Pani dyrektor szpitala, Anielska — kobieta z żelaza i żelazną fryzurą — obejrzała mnie od stóp do głów jak konia na targu i powiedziała: «Panna Dmowska, rodzina czy nie rodzina, tutaj się pracuje, nie pozuje». Odpowiedziałam, że nie przyszedłam pozować. Musiało jej się spodobać, bo przydzieliła mnie od razu na oddział chirurgiczny.

Pierwszy dzień — Boże. Krew, jodoformina, jęki rannych, i smród, którego nie da się opisać. Jeden żołnierz, chłopiec w zasadzie, miał odebrane trzy palce prawej ręki. Opatrywałam go i uśmiechałam się, choć w środku wszystko krzyczało. Wieczorem wymiotowałam w łazience, długo i uporczywie. Potem umyłam twarz, wyprostowałam się i wróciłam na oddział. Bo tak trzeba.

### **19 MAJA 1919**

List od kuzyna Romana z Paryża! Pisze na eleganckim papierze o konferencji pokojowej, o Clemenceau, Wilsonie, Lloydzie George'u. Pisze, że z Paderewskim bywa ciężko — «Ignacy jest pianistą, nie dyplomata, ale ma urok, którego mi brakuje, i używa go bez litości». Pisze o walce o każdy kilometr granicy, o tym, że Francuzi wspierają, ale Anglicy patrzą krzywo.

Czytam ten list przy świecy w szpitalnej kantynie i myślę o dwóch Polkach. Tamta — paryska, salonowa, pachnąca koniakami i drewnianymi boazeriami. I ta moja — szpitalna, cuchnąca eterem i ropą, gdzie dło-

nie pokryte są krwią od rana do wieczora. Kuzyn Roman walczy słowami o linię na mapie. Ja walczę szmatą i morfiną o chłopaka, który chce przeżyć do rana.

### **30 CZERWCA 1919**

Traktat wersalski podpisany — kuzyn Roman go podpisał osobiście, w Sali Lustrzanej w Wersalu. Mama płakała nad gazetą. Ja też miałam mokre oczy, choć staram się tego nie okazywać w szpitalu — tu lży są zarezerwowane dla pacjentów.

Polska ma granice zachodnie: Pomorze, kawałek Śląska, Wielkopolska. Ale wschodnie wiszą w powietrzu — tam nikt nic nie podpisał, tam strzelają. Od Romana dostałam krótki list: «Zachód załatwiony. Wschód będzie krwawił». Prorocze słowa. Szpital nie pustoszeje — rannych przywożą teraz ze wschodu, z walk z bolszewikami. Koniec jednej wojny jest początkiem następnej. Czy to w ogóle kiedyś się skończy? Czy moje ręce kiedyś będą czyste?

### **8 MARCA 1920**

Szpital zapełnia się rannymi z frontu wschodniego — napięcia z bolszewikami przechodzą w otwartą wojnę. Chłopcy, których opatruję, są coraz młodszy. Dzisiaj przyjęto jednego, który wygląda na szesnaście lat, choć twierdzi, że ma osiemnaście. Przestrzelone ramię, oczy starego człowieka w dziecięcej twarzy.

Pytam go: «Boli?» Kręci głową. Kłamie — widzę po zaciśniętych zębach, po białych knykciach, którymi ściska prześcieradło. «Nie musisz być dzielny przede mną» — mówię. «Tutaj możesz powiedzieć, że boli.» Wtedy płacze. Cicho, żeby inni nie słyszeli. Trzymam go za rękę, aż zaśnie. Ma szesnaście lat i jest mi go żal bardziej niż potrafię to opisać. Ta wojna pożera dzieci.

## **6 LIPCA 1920**

Przeniesienie do szpitala polowego przy 1. Armii. Bolszewicy nacierają z taką siłą, że front cofa się z dnia na dzień — Mińsk stracony, Wilno stracone, Grodno padło. W Warszawie narasta panika: ludzie pakują walizki, kto może, ucieka na zachód.

Jadę na front konwojem sanitarnym — trzy ciężarówki, dwie furmanki, garść pielęgniarek i jeden lekarz. Drogi pełne uchodźców: chłopci z dobytkiem na wozach, matki z dziećmi na rękach, starcy, którzy ledwo idą. To ten sam widok, który babcia opisywała z 1915 roku, kiedy front Wielkiej Wojny przetaczał się przez Polskę. Historia się powtarza, mundury się zmieniają. Cierpienie zostaje to samo.

## **12 SIERPNI 1920**

Piekło. Innego słowa nie ma. Bolszewicy są o kilkanaście kilometrów od Warszawy. Ranni przybywają falami — samochodami, furmankami, na piechotę, podtrzymywani przez kolegów. Brakuje łóżek, kładziemy ich na podłodze, na słomie, na czymkolwiek.

Brakuje morfiny. Brakuje bandażów — drę prześcieradła na opatrunki. Doktor Kamiński operuje bez przerwy od dwudziestu godzin, ręce mu się trzęsą, ale wciąż tnie i szyje. Ja asystuję, podaję narzędzia, tamuję krew, trzymam rannych, żeby się nie ruszali. Wieczorem, kiedy na chwilę siadam, myślę o kuzynie Romanie w Paryżu. Czy on wie, jak to wygląda? Czy ktokolwiek tam wie?

## **16 SIERPNI 1920**

Od rana kanonady z południa, inne niż dotychczas — głębsze, dalsze, jakby ktoś walił w wielki bęben. Ktoś wbiega do szpitala i krzyczy: «Piłsudski zaatakował! Kontruderzenie z południa!» Nie wierzę. Już kilka razy dawano nam nadzieję i za każdym razem łamała się jak sucha gałąź. Ale po południu ranni zaczynają mówić inne rzeczy: «Bolszewiki uciekają». «Rozbili ich». Wieczorem kapitan, którego opatrywałam — po-

strzał w udo, twarda sztuka — łapie mnie za rękę: «Siostrzo, wygraliśmy. Słyszysz pani? Wygraliśmy». Patrzę na niego i widzę łzy. I ja płaczę. I doktor Kamiński płacze, stary cynik, który twierdził, że leż nie ma.

### **18 SIERPNIA 1920**

Potwierdzenie: Armia Czerwona w pełnym odwrocie. Cud nad Wisłą — już tak to nazywają. Nikt nie pyta, ile to kosztowało — ile rąk, nóg, oczu, ile ostatnich westchnień w połowym szpitalu.

Rannych wciąż przywożą, ale nastrój jest inny. Chłopcy nawet z postrzałami uśmiechają się: «Pogoniliśmy ich, siostrzo». Widzę też pierwszych jeńców sowieckich — młodzi, głodni, przerażeni. Ich oczy są takie same jak naszych chłopaków: strach, ból, ulga, że się przeżyło. Ta sama ludzka twarz po obu stronach frontu. Opatruję ich tak samo jak naszych, bo rana jest raną, i krew jest czerwona niezależnie od flagi.

### **5 WRZEŚNIA 1920**

Front przesuwa się na wschód. Szpital polowy jedzie za armią. Krajobraz to rozpacz malowana na szaro: spalone wsie, pola uprawne zamienione w błoto, drogi pełne wraków. Tu i ówdzie grób z krzyżem albo czerwoną gwiazdą — zależnie, kto leży.

Rannych coraz mniej. Oddychamy. Doktor Kamiński po raz pierwszy od tygodni poszedł spać na więcej niż trzy godziny — widziałam, jak szedł do namiotu, i wyglądał jak człowiek, który niesie na plecach cały świat. Ja siedzę przy lampie naftowej i piszę ten dziennik, i myślę, ile kosztowała ta wolność. Nie w złotych i nie w słowach — w łzach, w krwi, w nocach przy konających. Ta cena jest nieprzeliczalna.

### **20 MARCA 1921**

Traktat ryski podpisany. Koniec wojny. Granice ustalone, choć nie takie, jakie chciał kuzyn Roman — od niego krótki, gorzki list. Pisze, że to kompromis, że Polska mogła dostać więcej, że Piłsudski zawiódł na

dypłomacji to, co wygrał na froncie. Głos dyplomaty. Ja mam głos pielęgniarki: koniec znaczy koniec, chłopcy mogą iść do domów, i to mi wystarczy.

Dostaję propozycję studiowania medycyny. Pani Anielska — ta sama, która dwa lata temu patrzyła na mnie jak na wariatkę — mówi: «Dmowska, z pani będzie dobry lekarz». Może ma rację. Nauczyłam się ratować życie rękami. Teraz mogę się nauczyć robić to głową.

## **5 MAJA 1922**

Trzecie Powstanie Śląskie za nami. Polska rośnie — kawałek Śląska tu, kawałek tam, każdy opłacony krwią. Budujemy państwo z klocków, z których każdy kosztował czyjeś życie.

Siedzę w pokoju na Nowym Świecie, piję herbatę i patrzę na mapę nowej Polski — pokolorowaną kredkami, z granicami zaznaczonymi ołówkiem. Cztery lata temu nie było żadnej mapy, bo nie było żadnej Polski. A teraz jest — ze stolicą, z granicami, z armią, ze szpitalami, ze mną. Nie jest idealna. Nie jest taka, jak ktokolwiek sobie wymarzył. Ale istnieje. I my ją zbudowaliśmy — bandażami, morfiną, uporem i łzami, których się nie liczyło.

*Zofia Dmowska przeżyła wojnę. Studiowała medycynę na Uniwersytecie Warszawskim i w latach trzydziestych praktykowała jako jedna z nielicznych kobiet-lekarek w stolicy. Utrzymywała kontakt z kuzynem Romanem aż do jego śmierci w styczniu 1939 roku — widywała się z nim rzadko, ale ich listy zachowały się w rodzinnym archiwum. W Powstaniu Warszawskim pracowała jako lekarka w podziemnym szpitalu. Po wojnie odbudowała praktykę od zera. Dziennik przekazała córce Mariannie. Zmarła w 1968 roku w Warszawie.*

## CAPITAINE ÉTIENNE MOREAU

Misja Wojskowa Francuska w Polsce, sztab generała Henrysa

*Przyjechałem uczyć Polaków nowoczesnej wojny. Zamiast tego to oni nauczyli mnie, czym jest desperacja narodu walczącego o przetrwanie.*

### **15 STYCZNIA 1919**

Warszawa. Przyjechaliśmy cztery dni temu i muszę przyznać — nie tego się spodziewałem. Generał Henrys patrzył na ten bałagan z miną człowieka, który zamówił bouillabaisse, a dostał zupę z kapusty. C'est le mot juste — zupa z kapusty.

Polska armia to zbieranina ludzi w mundurach z trzech różnych armii — rosyjskie, austriackie, pruskie. Karabiny z czterech krajów, kalibrów tyle, że kwatermistrz pije od rana. Dyscypliny brak, organizacji brak, logistyka jest żartem, od którego chce się płakać. Ale jest coś, czego my, Francuzi, nie mamy od czasów rewolucji: ogień w oczach. Piłsudski przyjął nas w Belwederze, uprzejmie, z kawą i ciastkami, ale w jego spojrzeniu wyczytałem wyraźnie: «Witam panów, ale nie potrzebuję panów».

### **20 MARCA 1919**

Dwa miesiące obserwacji szkolenia i zaczynam zmieniać zdanie o tej armii. Żołnierze są niedyscyplinowani na sposób, który drażni każdego

wychowanka Saint-Cyr. Ale jest w nich coś, czego nie spotkałem nawet w Verdun — desperacka, żyłasta wola istnienia. Szeregowy śpiewa polskie pieśni podczas marszu, nie z rozkazu, ale z potrzeby. Oficerowie są młodzi, pełni ognia, naiwni czasem, ale nigdy cyniczni.

W Verdun byłem wśród ludzi, którzy walczyli dla Francji — patriotów, żołnierzy, fachowców. Tu widzę coś innego: ludzi, którzy walczą o samo istnienie. Nie o granice — o prawo do bycia na mapie. To jest fundamentalna różnica, i dopiero teraz zaczynam ją rozumieć.

## **12 LISTOPADA 1919**

Rok w Polsce i widzę postęp, choć powolny jak polska wiosna. Szkolenia dają efekty — jednostki są sprawniejsze, logistyka mniej chaotyczna, oficerowie zaczynają myśleć taktycznie, a nie tylko szarżą bohaterską. Ale wciąż za dużo improwizacji i za mało porządnego planowania.

Dzisiaj słyszałem rozmowę dwóch szeregowych przy czyszczeniu broni. Jeden powiedział drugiemu: «Walczę, bo moja babka nie widziała wolnej Polski. Ja ją zobaczę albo zginę». Drugi pokiwał głową i dalej czyścił karabin. Żadnego patosu, żadnych wielkich gestów — po prostu fakt, prosty jak chleb. Napisałem raport do Paryża: «Les Polonais manquant de méthode mais pas de courage». To więcej, niż można powiedzieć o wielu armiach, które znam.

## **25 KWIETNIA 1920**

Piłsudski ruszył na Kijów. Bez konsultacji z nami, bez naszej zgody, bez niczyjej zgody. Generał Henrys chodził po gabinecie jak lew w klatce: «C'est de la folie! C'est de la pure folie!» Ja milczałem, bo milczenie jest jedyną rozsądną odpowiedzią na szaleństwo.

Patrząc na mapy i widząc ryzyko, które przytłacza: linie zaopatrzenia rozciągnięte do absurdu, flanki odsłonięte, tyły niezabezpieczone. Napoleon ruszył na Moskwę z Grande Armée. Piłsudski ruszył na Kijów z armią, w której połowa żołnierzy nie ma porządných butów. Sojusz z Pe-

tlurą — ukraińskim atamanem — jest chwiejny jak stolik na trzech nogach. Ale Piłsudski ma w oczach coś, co widziałem u ludzi, którzy ryzykują wszystko.

## **10 CZERWCA 1920**

Odwrót. Sowieci kontratakowali z trzech stron i teraz to Polacy cofają się — szybko, chaotycznie, zostawiając za sobą sprzęt i nadzieję. Tuchaczewski, dwudziestosiedmioletni generał, prowadzi ofensywę z rozmachem, którego się nie spodziewaliśmy — jego armia jest biedna i źle wyposażona, ale szybka i bezwzględna.

W sztabie narasta panika — wyrażana cicho, szeptem, za zamkniętymi drzwiami. Piłsudski wydaje rozkazy spokojnym głosem, ale nawet jego kamienne oblicze nie zmienia faktów na mapie. Henrys potrzebował wczoraj koniaku, żeby zasnąć. Ja siedziałem do trzeciej nad ranem nad mapami, które wyglądały jak wyrok: prosta droga sowiecka do Warszawy, i nic na niej.

## **25 LIPCA 1920**

Weygand przybył. Stał na peronie warszawskiego dworca jak posąg — wyprostowany, pewny siebie, z twarzą zbawiciela, który wie, że jest zbawicielem. Generał Henrys czekał z miną skazańca, który zna wyrok.

Weygand to legenda. Człowiek Focha, strateg z wielkich sztabów. Ale czy rozumie Polskę? Czy rozumie ten naród, który robi rzeczy niemożliwe, bo nie wie, że są niemożliwe? Słyszę już szepty w polskim sztabie: «Ratownik z Paryża». «Francuz nam powie, jak wygrać». Nie podoba mi się to. *Il arrive comme un sauveur, mais les sauveurs ont rarement raison.*

Piłsudski przywitał go uprzejmie, ale chłodno. Jak kot, który toleruje gościa, bo tak wypada.

#### **14 SIERPNI 1920**

Weygand opracowuje plan obrony — fortyfikacje, linie rezerwowe, punkty oporu. Wszystko metodyczne, profesjonalne, podręcznikowe. Ale Piłsudski mówi o czymś zupełnie innym: uderzeniu z południa, znad Wieprza, w odsłoniętą flankę sowiecką. Plan, którego nie ma w żadnym podręczniku.

Weygand słucha tego z miną dyrektora banku, któremu proponują inwestycję w latający dywan. «L'armée polonaise ne peut pas marcher au sud et au nord en même temps» — powiedział dziś po obiedzie, pewny siebie jak marmurowy posąg. Piłsudski uśmiechnął się. Tym swoim uśmiechem, który nie jest uśmiechem, ale ostrym nożem.

Zaczynamy rozumieć, że decyzje zapadają nie w naszym sztabie.

#### **16 SIERPNI 1920, GODZ. 16:00**

Piłsudski zaatakował. Kontruderzenie znad Wieprza — dokładnie to, o czym mówił, a Weygand wyśmiewał. Weygand otrzymał wiadomość i przez kilka minut milczał. Jego twarz — nie będę w stanie tego opisać żadnemu przełożonemu. Był tam szok, gniew, i coś głębszego: uświadomienie, że wszystko, czego uczył się w École Supérieure de Guerre, właśnie podważył marszałek z krainy, której przez sto dwadzieścia trzy lata nie było na żadnej mapie.

Raporty: sukcesy na całej linii. Sowietci pękają na flance, cofają się w chaosie. Polscy kryptolodzy złamali szyfry Tuchaczewskiego — wiedzieli, gdzie są luki, zanim sam Tuchaczewski to zauważył. Mon Dieu. Miał rację. Oczywiście, że miał.

#### **25 SIERPNI 1920**

Cud nad Wisłą. Tuchaczewski rozbity, dziesiątki tysięcy jeńców, Armia Czerwona w pełnym odwrocie. Weygand wyjechał dziś — oficjalnie na inspekcję, ale każdy wie, że wraca do Paryża. Widziałem jego twarz przy

wsiadaniu do samochodu: ulga, że nie był tu, gdy wyglądało na przegraną, i głęboka irytacja, że nie jest autorem zwycięstwa.

General Henrys odwrócił się do mnie, kiedy samochód Weyganda zniknął za rogiem, i powiedział jedno słowo: «Piłsudski». Nic dodać, nic ująć. Francja będzie opowiadać, że Weygand uratował Warszawę. Niech opowiada. My widzieliśmy prawdę. Prawda jest taka, że desperacja jednego narodu zrobiła więcej niż plany wszystkich sztabów Europy.

### **19 MARCA 1921**

Traktat ryski podpisany. Polska dostała granicę na wschód od Linii Curzona. Weygand jest w Paryżu, zbierając laury za zwycięstwo, które nie było jego. Piłsudski siedzi w Belwederze i milczy — bo milczenie jest jedyną godną odpowiedzią, kiedy kradną ci zasługi.

Historię piszą ci, którzy umieją mówić. Piłsudski nie umie mówić na salonach — lub nie chce. Polska miała szczęście, że go miała. A Francja miała szczęście, że Polska przetrwała: gdyby Tuchaczewski wziął Warszawę, Niemcy byłyby następne, a potem my. Europa tego nie rozumie. Może kiedyś zrozumie.

### **20 KWIETNIA 1921**

Wracam do Francji za tydzień. Dwa lata w Polsce zmieniły mnie bardziej niż cztery lata Wielkiej Wojny — i to mówi coś o Polsce, i coś o wojnie. Nauczyłem się czegoś, czego nie ma w żadnym podręczniku taktyki: że desperacja jest bronią potężniejszą niż plan, a determinacja jest zaraźliwa jak tyfus. Że naród, który nie ma prawa istnieć, potrafi wywalczyć sobie to prawo gołymi rękami. I że Francuz, nawet najlepiej wyszkolony, nie powinien przyjechać do takiego narodu z pouczeniami.

Piłsudski podał mi rękę na pożegnanie: «Merci, Capitaine. Polska pamięta.» Odpowiedziałem jak przystoi oficerowi. Ale myślałem jak człowiek, który widział cud i wie, że nikt mu nie uwierzy.

*Moreau wrócił do Francji w sierpniu 1921 roku. Awansował na majora, ale Polska zmieniła go na zawsze. W latach trzydziestych ostrzegał przed niemieckim remilitaryzmem — nikt nie słuchał. W czerwcu 1940 walczył w obronie Francji, trafił do stalagu na cztery lata. Po wyzwoleniu napisał wspomnienia z Polski, opublikowane w 1952 roku. Zmarł w Lyonie w 1967 roku. Jego historia symbolizuje los francuskiej misji — przyjechali jako nauczyciele, wyjechali jako uczniowie.*

## STRZELEC WASYL HNATIUK

Ukraińska Armia Halicka (UHA), potem cywil-uchodźca

*Мріяли про вільну Україну. Замість цього отримали тиф  
і чужі прапори над нашими селами.*

### **30 PAŹDZIERNIKA 1918**

Lwów szumi jak ul przed burzą. Austro-Węgry się rozpadają — cesarz jest już nikim, a na każdym rogu ludzie mówią o wolności głosami, które jeszcze miesiąc temu byłyby szeptem. W naszej wsi pod Lwowem starzy ludzie płaczą i śpiewają «Ще не вмерла Україна» — naszą pieśń, której nie wolno było śpiewać głośno, a teraz rozbrzmiewa jak dzwon. Polska Rada Ludowa chce Lwowa. My chcemy Lwowa. Dwa narody, jedno miasto, i każdy mówi, że jest jego. To nie skończy się dobrze — ale dzisiaj nie chcę o tym myśleć. Dzisiaj myślę o wolnej Ukrainie i mam dwadzieścia osiem lat, i świat jest otwarty, i wszystko wydaje się możliwe. Może to naiwność. Ale naiwność jest lepsza niż rozpacz.

### **1 LISTOPADA 1918**

Ukraińska Armia Halicka! Wczoraj garstka, dziś armia. Tysiące młodych mężczyzn ze wsi i miasteczek, z fabryk i z pól — chłopaki, którzy nigdy nie trzymali karabinu, a teraz idą na wojnę z uśmiechem na ustach, bo wojna jest za wolność, a za wolność można ginąć.

Dostaję karabin — stary, austriacki, ciężki — za duży mundur i rozkaz: bronić Lwowa. Polacy się wycofali, zdezorganizowani. Wieszamy niebiesko-żółte flagi na ratuszu, na kościołach, na dworcach. Mama, kiedy jej powiedziałem, że idę do wojska, złapała mnie za twarz obiema rękami i powiedziała: «Для нас, сину. Для нас!» Dla nas. Te dwa słowa niosę w sobie jak amulet. Mocniejsze niż karabin.

## **20 LISTOPADA 1918**

Polacy wracają i tym razem nie są słabi. Mają wsparcie z zewnątrz — świeże oddziały, amunicję, karabiny maszynowe. Walki uliczne we Lwowie: dom za domem, okno za oknem, podwórko za podwórkiem. Mój przyjaciel Dmytro dostał w bok — krew się lała jak z kranu, tyle jej było, że nie dało się zatamować szmatą ani ręką.

Niosłem go na plecach do punktu opatrunkowego. Cztery przecznice pod ostrzałem, i każda jak osobna wieczność. Przeżył, ale lekarz powiedział, że nie będzie chodził. Dmytro, który trzy tygodnie temu tańczył na weselu u Petra, teraz leży na deskach i patrzy w sufit, i nie mówi nic. Marzenie rozpadło się szybciej niż zachodzące słońce.

## **18 GRUDNIA 1918**

Wycofaliśmy się ze Lwowa. Armia Halicka idzie na południe — oficerowie mówią: «Umocnimy pozycje, odbudujemy siły, wrócimy». Ale ja widzę ich oczy i w tych oczach nie ma przekonania. Jest strach, który próbują ukryć za poważnymi minami.

Polacy mają za sobą Ententę — Francję, Anglię, cały zachodni świat, który o nas nigdy nie słyszał albo nie chce słyszeć. My mamy flagi i nadzieję. A nadzieja jest lekka jak pierze — niesie w górę, ale nie chroni od kul.

Moje wyposażenie: karabin z dwudziestoma nabojami, pół bochenka chleba, mokre buty i wspomnienie matczynych rąk na twarzy. Z tym mam odzyskać Lwów. Z tym mam zbudować Ukrainę.

## **12 STYCZNIA 1919**

Walki pod Tarnopolem. Mróz taki ostry, że palce nie zginają się na spuście — trzeba dmuchać na ręce co minutę, żeby w ogóle móc strzelać. Ludzie umierają nie od kul, a od zimna i głodu. Wczoraj Oleh zasnął na warcie. Znaleźli go rano — biały jak papier, spokojny jak dziecko we śnie. Powiedzieli, że to łagodna śmierć. Ja nie wiem, czy śmierć z zimna na warcie, w dwudziestotrzy lat, z narzeczoną w Stryju, jest łagodna.

Komisarz powiedział: «Walczyście z niewidocznym wrogiem — mrozem, głodem, chorobami». Zapomniał dodać: i z Polakami, którzy mają ciepłe mundury, bo Francuzi im je przysłali. My mamy to, co mamy. A mamy coraz mniej.

## **18 MAJA 1919**

Tyfus. Bóg — jeśli jest — ma okrutne poczucie humoru. Najpierw wysłała nas do walki z Polakami, potem z mrozem, a na koniec ze wszami, które niosą chorobę śmiertelniejszą od kul. W mojej setce dziewięciu na dwudziestu czterech jest chorych — gorączka, majaczenia, pot, smród. Leżą na słomie i umierają powoli, jedno po drugim.

Widok człowieka z tyfusem to widok trupa, który jeszcze oddycha. Oczy szklane, skóra szara jak popiół, oddech jak szelest suchych liści. Lekarz — jeden na sto pięćdziesiąt ludzi — mówi, że możemy tylko czekać. Albo przeżyjesz, albo nie. Medycyna ma granice, a te granice biegną bardzo blisko nas. Bliżej, niż ktokolwiek chciałby.

## **10 LIPCA 1919**

Armia się rozpadła. Oficerowie nie wydają już rozkazów — wydają sugestie, które nikt nie wykonuje. Ludzie odchodzą. Po prostu wstają, biorą plecak i idą. Nikt nie strzela do dezertów — bo któż by strzelał? Dezertorem jest połowa armii, a druga połowa się zastanawia.

Ja też odchodzę. Czuję gorączkę w kościach — może tyfus, może wyczerpanie, może jedno i drugie. Plecak jest lekki, bo nie ma w nim nic.

Karabin zostawiłem pod drzewem — niech weźmie ktoś, kto jeszcze wierzy. Ja nie wierzę.

Gdzie się idzie, kiedy marzenie umarło? Do domu. Ale dom jest po polskiej stronie. A ja jestem nikim — bez munduru, bez flagi, bez ojczyzny.

### **15 MARCA 1920**

Pracuję u polskiego gospodarza pod Tarnopolem. Pan Kowalski — dziwne, że akurat tak się nazywa, jakby ktoś wymyślał postacie do książki — nie jest złym człowiekiem, choć jest Polakiem. A może właśnie dlatego, że jest prostym człowiekiem, a nie politykiem czy generałem. Mówi do mnie «Wasył» bez pogardy, jakby moje ukraińskie imię było takim samym imieniem jak jego.

Jego żona dała mi dziś gorący barszcz — czerwony, gęsty, pachnący domem. Siedziałem nad miską i płakałem. Nie z żalu, nie z radości — z czegoś pomiędzy, czego nie umiem nazwać. Ona odwróciła się do okna i udawała, że nie widzi łez. Ludzie na co dzień są lepsi niż ich flagi.

### **22 SIERPNIĄ 1920**

Bolszewicy przeszli tędy dwa tygodnie temu — palili, rabowali, szukali polskich oficerów. Teraz Polacy wracają i robią to samo, szukając sowieckich szpiegów i sympatyków. A ja — Ukrainiec bez munduru, bez dokumentów — jestem podejrzany dla każdej strony.

Ukrywam się w szopie za stodołą pana Kowalskiego. On przynosi mi jedzenie wieczorami, ryzykując życie. Gdyby ktoś go wydał — Polak chroniący Ukrainca — skończyłby źle. Pytam go, dlaczego to robi. Wzrusza ramionami i mówi prosto: «Bo jesteś człowiek, Wasył». Proste słowa. Ale w tych czasach znaczą więcej niż traktaty, rozkazy i konferencje pokojowe razem wzięte.

## **20 STYCZNIA 1921**

Tyfus wrócił. Czuję go w głowie jak ptaka zamkniętego w klatce — stuka dziobem w ścianki czaszki, dzień i noc, bez przerwy. Gorączka przychodzi falami: to zimno jak w grobie, to gorąco jak w piecu, to znowu zimno. Czasami widzę matkę siedzącą przy łóżku. Wiem, że jej tu nie ma — wiem, że to gorączka rysuje mi obrazy. Ale jej dłoń na moim czole jest taka prawdziwa, taka ciepła.

Pani Kowalska zmienia mi okłady i mówi łagodnym głosem, po polsku, jakby do dziecka. Nie rozumiem wszystkich słów, ale rozumiem ton. To jest ton matki — każda kobieta na świecie umie tak mówić.

## **30 STYCZNIA 1921**

Pani Kowalska powiedziała mi dziś coś, czego nie powiedziała słowami, ale oczami. Tym spokojnym, pewnym wzrokiem kobiety, która wie, że koniec jest blisko, i nie chce kłamać, ale nie potrafi powiedzieć prawdy wprost.

«Modłę się za ciebie każdego ranka, Wasyl» — powiedziała.

Odpowiedziałem: «Módl się za siebie, pani. Ty żyjesz».

Uśmiechnęła się smutno. Pan Kowalski stał w drzwiach i milczał. Solidny jak drzewo, nieruchomy, z oczami pełnymi czegoś, na co nie mam słowa. Jego milczenie mówi wszystko, co trzeba powiedzieć. Są ludzie, przy których cisza jest lepsza niż każde słowo.

## **7 LUTEGO 1921**

Ciemno. Wszystko ciemno. Głosy gdzieś — ludzie czy wspomnienia? Nie wiem. Granica między jawą a snem roztarła się jak mokry atrament na papierze.

W gorączce widzę Armię Halicką maszerującą przez pola słoneczników. Dmytro niesie niebiesko-żółtą flagę — chodzi, chodzi! — i wszyscy się uśmiechają. Oleh jest tam, i matka, i tata, i stara Oksana z sąsiedztwa,

która robiła najlepsze pierogi na świecie. Idą przez złote pole i śmieją się, i machają do mnie.

To jest miłe. To jest bardzo miłe. Może umieranie nie jest takie straszne, jeśli we śnie wraca się do domu.

Матко, вибач. Не повернувся.

*Wasył Hnatiuk zmarł na tyfus w lutym 1921 roku pod Tarnopolem. Gospodarz, u którego pracował, znalazł dziennik po jego śmierci i przechował go przez całą II wojnę światową. Po wojnie ukraiński ksiądz greckokatolicki wywiózł go do Kanady, gdzie trafił do archiwów instytutu naukowego w Toronto. Historia Hnatiuka jest jedną z tysięcy bezimiennych historii ludzi, którzy walczyli o wolną Ukrainę i dostali w zamian tyfus, wygnanie i zapomnienie.*

## CHAIM ROZENBERG

Sklepiarz, właściciel sklepu kolonialnego w Brańsku na Podlasiu

*Mój dziadek mawiał: kiedy dwaj wielcy się biją, trzeci  
powinien schować porcelanę. Mój dziadek nie miał porcelany,  
więc chował się sam.*

### **12 LISTOPADA 1918**

Przez okno sklepu patrzę na biało-czerwone flagi na ratuszu. Wczoraj wisiały austriackie, pozawczoraj rosyjskie — a może na odwrót, bo w tym miasteczku flagi zmieniają się częściej niż pogoda, a pogoda na Podlasiu zmienia się co godzinę. Cena cukru została ta sama i to jest jedyna stała rzecz w tym świecie.

Pani Krystyna kupiła dwa kilo cukru na obchody niepodległości. Płakała ze szczęścia tak, że musiałem podać jej chustkę. Pan Jabłoński kupił wódkę i powiedział z mocą proroka: «Polska będzie wolna!» Spytałem uprzejmie, od czego dokładnie wolna. «Od cesarzy!» — odparł. Pokiwałem głową. Od cesarzy — to pewnie tak. Ale od podatków, od biedy, od tego, że chleb kosztuje za dużo, a masło za mało? Oj, wątpię. Mój dziadek mawiał: «Chaim, imperje padają, ale rachunki zostają».

Dzień niepodległości. Przychody wzrosły o czternaście procent, głównie dzięki wódce. Nu, niech im będzie.

## **GRUDZIEŃ 1918**

Nowa polska administracja zainstalowała się w ratuszu z takim rozmachem, jakby budowała piramidę, a nie powiatowy urząd. Pan Karpowski, komisarz, człowiek z wąsami jak u morsa i miną tak poważną, jakby dźwigał na barkach całe Podlasie, wszedł do sklepu i oznajmił, że będą nowe podatki. Spytałem: «Panie komisarzu, ile?» Nie wiedział jeszcze. «Ale będą» — powiedział z przekonaniem człowieka, który przynajmniej w jednej sprawie jest pewien. Podziękowałem za szczerość, bo lepsza szczerza niepewność niż fałszywa obietnica.

Pan Jakub z piekarni wisi mi pieniądze od sierpnia. Powiedział, że zapłaci, jak się Polska ustabilizuje. Czyli — rozumiem — nigdy. Dodałem mu do rachunku podatek od niepewności — jeden grosz. Nie zauważył. Może tak powinno wyglądać państwo: zbierać po groszu od tych, którzy nie zauważają.

Żona mówi, że powinienem być politykiem. Odpowiedziałem, że jestem — tyle że uczciwy.

## **LUTY 1919**

Trzeci komendant w trzy miesiące. Pierwszy, Karpowski, okazał się «zbyt miękki» — co w praktyce oznacza, że nie krzyczał dość głośno. Przyszedł pułkownik Dąbrowski, «zdecydowany» — zdecydowanie podniósł podatki i zdecydowanie je źle policzył. Teraz jest kapitan Nowak, «reformator» — reformuje to, co poprzednicy zdecydowali, i będzie reformował, aż go też wymienią.

Zauważyłem pewien wzór, który powtarza się z dokładnością zegara. Każdy nowy komendant przychodzi do mojego sklepu pierwszego dnia. Kupuje coś — zwykle papierosy albo herbatę, bo to są zakupy, które wyglądają jednocześnie skromnie i poważnie. Mówi, że teraz będzie inaczej. Potem znika za biurkiem, a po dwóch miesiącach go wymieniają na następnego, który mówi to samo.

Mój dziadek mawiał: «Chaim, władza zmienia się jak wiatr, chleb zostaje taki sam, a człowiek z mąką w kieszeni zawsze jest potrzebny». Mąki mi nie brakuje. Więc siedzę, sprzedaję i obserwuję — bo obserwacja to jedyna nauka, za którą nie trzeba płacić czesnego.

## KWIECIEŃ 1920

Więści z frontu przychodzą do Brańska z opóźnieniem, ale panika jest punktualna jak pociąg do Białegostoku. Piłsudski atakuje Kijów, bolszewicy kontrują, wojna pędzi na zachód jak lokomotywa bez hamulców, a w Brańsku natychmiast widać skutek: ludzie kupują na zapas z energią, jakby jutro miał się skończyć świat.

Pani Stefania wzięła makaron na całe lato, choć mamy wiosnę i makaron w ciepłe pleśnieje — powiedziałem jej, ale machnęła ręką. Pan Lewkowicz kupił sześć bochenków chleba, które stwardnieją w trzy dni. Pani Jakubowska — tę to ja znam, ta kobieta panikuje na wieść o deszczu — wzięła pięć kilogramów słoniny. «Po co pani tyle słoniny?» — spytałem. «Bo jak przyjdą bolszewicy, to przynajmniej nie będę głodna.» Logika paniki: kupuj dużo, myśl potem, żałuj w piątek.

Z mojego punktu widzenia to jest doskonały interes. Zły czas jest złym czasem dla ludzi, ale dobrym dla sprzedawcy. Az ikh hob mazel, jak mówił mój dziadek, choć on akurat szczęścia nie miał.

## LIPIEC 1920

Bolszewicy zbliżają się do Brańska. To już nie plotki z targu — to artyleria na horyzoncie, dudnienie, od którego dygocą szklanki na półkach. W miasteczku cisza, ale nie ta spokojna, wieczorna cisza — cisza jak zaciśnięta pięść, jak oddech przed skokiem do wody.

Pan Kwiatkowski zamknął dom i pojechał «pomagać armii» — co w praktyce oznacza, że pojechał do teściowej w Siedlce. Jego żona została sama ze sklepem mięsnym i z wyrazem twarzy człowieka, który właśnie rozumiał, że został. Rabin Goldstein kazał się modlić za pokój — za po-

kój dla wszystkich, powiedział, bo Bóg nie rozróżnia mundurów. Proboszcz Wiśniewski kazał się modlić za zwycięstwo — za polskie zwycięstwo, naturalnie. Każdy Bóg słucha inaczej, ale żaden nie odpowiada szybko — to akurat żydowski i katolicki Bóg mają wspólne.

Ja zostanę. Gdzie miałbym pójść? Sklep to moja krew i moje kości. Człowiek bez sklepu to jak rabin bez Tory — niby żyje, ale po co?

### **1 SIERPNI 1920**

Sowieci wkroczyli do Brańska rano, z szarym świtem, bez większej walki. Polskie wojsko odeszło w nocy — słyszałem buty na bruku, potem ciszę, potem nic. Rano ulice były puste, a na ratuszu wisiała czerwona flaga, która wyglądała tak, jakby ktoś zawiesił na kiju mokrą pościel.

Rzeczywistość sowieckiej okupacji wygląda inaczej niż strach przed nią. Żołnierze w szarych, brudnych mundurach — zmęczeni, głodni, niektórzy bosi, co jest fascynujące, bo trudno podbijać świat na bosaka. Pierwszy, który wszedł do sklepu, nie chciał rozkazów ani rewolucji — chciał chleba. Dałem mu kromkę razowego z masłem. Nie zapłacił, ale uśmiechnął się z taką wdzięcznością, jakbym dał mu pałac.

Jego kolega powiedział coś po rosyjsku, z czego zrozumiałem «burżuazja» i «likwidacja». Ale burżuazja ma chleb, a zwycięska armia nie ma. Więc kto tu naprawdę wygrał? Mój dziadek by powiedział: «Ten, co ma chleb». I miałby rację.

### **3 SIERPNI 1920**

«Komitet Rewolucyjny» zainstalował się w ratuszu z zapalem ludzi, którzy po raz pierwszy w życiu mają biurko. Trzej komisarze — jeden z Białegostoku, profesjonalny rewolucjonista w skórzanej kurtce i okularach, które wyglądały na pożyczone od kogoś mądrzejszego, i dwaj miejscowi, którzy jeszcze w zeszłym tygodniu kupowali u mnie herbatę na kredyt.

Przyszli do sklepu i oświadczyli z powagą godną lepszej sprawy: «Sklep jest odtąd znacjonalizowany na rzecz proletariatu». Pokiwałem głową z szacunkiem. «A kto teraz jest właścicielem?» — spytałem. «Proletariat.» «A proletariat będzie zamawiał towar? Prowadził księgi rachunkowe? Wstawał o piątej rano, żeby otworzyć? Negocjował z dostawcami, którzy oszukują na wadze?»

Cisza, długa jak Talmud i znacznie mniej pouczająca. Okazuje się, że rewolucja doskonale wie, jak zabrać sklep, ale nie ma żadnego pojęcia, jak go prowadzić. Biurokracja czerwona różni się od biurokracji białej wyłącznie kolorem atramentu — i obie są jednakowo wolne.

## 8 SIERPNI 1920

Problem nacjonalizacji pogłębia się jak studnia, w którą nikt nie chce zaglądać. Sowietci zabrali mi sklep na papierze, ale towary dalej leżą na półkach i nikt nie wie, co z nimi zrobić. Powołali komisję. Komisja się zebrała, obejrzała półki z miną znawców, spisała towar ołówkiem tak tępym, że litery wyglądały jak hieroglify, wypila herbatę — moją, na mój koszt, za którą nikt nie zapłacił — i postanowiła powołać następną komisję.

Druga komisja przyjdzie jutro. Zaproponowałem uprzejmie: «Panie komisarze, może po prostu będę dalej sprzedawał? Za państwo, oczywiście. Proletariat potrzebuje cukru, a cukier nie sprzedaje się sam». Spojrzeli na siebie jak uczniowie przyłapani przy odpisywaniu. Jeden powiedział: «To chyba ma sens». Drugi: «Ale jak to uzasadnić ideologicznie?» Trzeci wzniesł ramionami — i to jego wzruszenie ramion było najbardziej sensowną rzeczą, jaką powiedział ktokolwiek w tym ratuszu od tygodnia.

Dalej sprzedaję. Na paragonie pisze «Własność Ludu Pracującego». Cena cukru bez zmian.

### **13 SIERPNI 1920**

Najlepsze od tygodnia, a może od całej wojny.

Sowietci postanowili znacjonalizować krowę sąsiada, pana Jabłońskiego. Przyszło trzech komisarzy i odbyła się długa, ożywiona dyskusja o «środkach produkcji» i o tym, czy krowa jest środkiem produkcji, wytworem produkcji, czy może — jak zasugerował komisarz z Białegostoku — «żywym kapitałem w fazie eksploatacji». Pan Jabłoński, chłop twardy jak cegła i równie wymowny, słuchał tego z kamienną twarzą, a potem powiedział, że krowa jest «narzędziem klasy robotniczej, bo robi masło dla ludu». Komisarze byli zachwyceni tą dialektyką — wreszcie proletariusz, który mówi ich językiem.

Następnego ranka krowa uciekła. Pan Jabłoński znalazł ją dwa kilometry za miasteczkiem, u weterynarza, gdzie pasła się spokojnie, nie wiedząc, że jest obiektem sporu klasowego. Komisarz z Białegostoku powiedział, że krowa jest «kontrrewolucyjna». Nie wiem, jakie poglądy polityczne ma krowa pana Jabłońskiego, ale wiem jedno: rewolucja, która nie potrafi sobie poradzić z jednym bydlęciem, raczej nie poradzi sobie ze światem. A guter vits, ale prawdziwy.

### **16 SIERPNI 1920**

Kanonada. Od rana grzmoty na zachodzie, potem na południu, potem wszędzie — jakby cały horyzont był wielkim bębniem, w który ktoś walił coraz mocniej i coraz bliżej. Sowietci niespokojni — komisarze biegają po ratuszu z mapami, oficerowie krzyczą na żołnierzy, a żołnierze krzyczą na siebie nawzajem. Porządek się rozpada jak szmata w praniu.

Ludzie wychodzą z domów i słuchają. Stoimy na ulicy — Polacy, Żydzi, nawet sowieccy żołnierze — i wszyscy wsłuchujemy się w tę samą kanonadę, jakby to był koncert, na który nikt nie kupił biletu. Każdy słyszy w niej co innego. Jedni słyszą koniec, drudzy początek, trzeci szukają w niej wiadomości od Boga. Ja słyszę to, co słyszę od dwóch lat: zmianę.

Kolejną zmianę, kolejne flagi, kolejnego komendanta, który wejdzie do sklepu i powie, że teraz będzie inaczej.

Przygotowuję się. Zdejmuję napis «Własność Ludu Pracującego» i chowam pod ladę. Na wszelki wypadek.

## **20 SIERPNIĄ 1920**

Bolszewicy uciekli w nocy. Cicho, bez pożegnania, bez ostatniego wiecu, bez przemowy o zwycięstwie proletariatu. Rano ratusz był pusty, czerwone flagi leżały na bruku, mokre od rosy, jakby nawet one wstydyły się tego, co się stało.

Polskie kolumny weszły do Brańska o świcie. Inny mundur, ten sam rytuał: «Witamy wyzwolicieli!», kwiaty, łyzy, pani Krystyna znowu kupuje cukier na obchody. Pan Jabłoński powiedział z triumfem: «Nareszcie nasi». Jego krowa wróciła sama, dzień wcześniej — jakby wiedziała, kiedy się zmienia władza. Komisarz Karpowski wrócił na stanowisko, łysejszy, chudszy i z mądrością człowieka, który wie, że może znowu stracić stanowisko w dowolnej chwili.

Sklep jest znowu mój. Zdjąłem napis spod lady, ale nie ten sowiecki — ten poczekał w koszu. Zawiesiłem starą tabliczkę: «Chaim Rozenberg — Towary Kolonialne». Policzyłem straty: trochę cukru, trochę herbaty, dużo nerwów. Ale stoję. Sklep stoi. To jest moje zwycięstwo — ciche, bez fanfar, ale moje.

## **WRZESIEŃ 1920**

Po trzeciej zmianie władzy w pół roku zastanawiam się nad pewnym wzorem. Każda władza przychodzi z wielkimi słowami i odchodzi w ciszy. Każda obiecuje nowy porządek, a zostawia stary bałagan. Flagi inne, mundury inne, hymny inne — ale podatki takie same, cena chleba taka sama, i ludzie ci sami, z tym samym zmęczonym wyrazem twarzy.

Moja klientela uczy się żyć między światami — tak jak ja, tak jak mój ojciec, tak jak jego ojciec przed nim. Kupują chleb, modlą się w koście-

le lub synagodze, targując się na rynku i żartując przy herbacie. Próbuje przeżyć do następnego wtorku — bo wtorek to dzień targowy, a na targu życie ma sens.

Polska jest krajem, w którym przystosowanie jest sztuką przetrwania. My, Żydzi, znamy tę sztukę od dwóch tysięcy lat — od Babilonu, przez Rzym, przez każde imperium, które nas miało wygnać, a samo przepaść. Może Polacy się jej od nas nauczą. Albo my od nich — bo oni mają talent do zmartwychwstawiania, którego im zazdroszczę.

### **MARZEC 1921**

Traktat ryski. Pokój, wreszcie — to słowo, które brzmi jak westchnienie ulgi po długim kaszlu. Czytam w gazecie, że to «wielkie zwycięstwo dyplomacji polskiej». Karpowski przyszedł do sklepu, wyprostowany jak struna, i powiedział z dumą: «Rozenberg, mamy pokój!» Spytałem, czy to oznacza niższe podatki. Zaśmiał się i odpowiedział: «Rozenberg, pan zawsze o podatkach».

A o czym mam myśleć? O geopolityce? O równowadze sił w Europie? O Linii Curzona, którą nakreślił jakiś Anglik, nigdy nie odwiedziny Brańska? Niech o geopolityce myślą ci, co mają na nią czas i pensję. Ja mam sklep, troje dzieci w wieku, kiedy jedzą więcej niż zarabiają, żonę Rywkę, która gotuje szulec w piątce — najlepszy w Brańsku, choć Szulmanowa twierdzi inaczej — i rachunki do zapłacenia przed pierwszym. Pokój oznacza, że nikt nie przyjdzie nacjonalizować mi cukru. To mi wystarczy. Na razie. Di goldene medineh — złota kraina — moja jest tu, przy ladzie.

### **KWIECIEŃ 1922**

Rok spokoju. Pierwszy od czterech lat. Nikt nie strzelał, nikt nie wchodził do miasteczka z bronią i manifesty, nikt nie nacjonalizował krów ani sklepów. Cisza, zwykła, codzienna cisza — taka, w której słychać ptaki i trzaskanie drew w piecu, i głos Rywki wołającej na obiad.

Sklep stoi. Towary się sprzedają. Ludzie przychodzą — Polacy, Żydzi, nawet jakiś Białorusin z okolic, który nie wie, czy jest Polakiem, Białorusinem, czy po prostu zmęczonym człowiekiem. Kupuje herbatę, kiwa głową i wychodzi. Życie. Normalne życie, które smakuje jak ciepły chleb z masłem — prosta rzecz, ale po czterech latach chaosu smakuje jak królewska uczta.

Mój dziadek mawiał, że przetrwanie to sztuka bycia niewidocznym. Ale ja myślę inaczej — przetrwanie to sztuka bycia potrzebnym. Człowiek, który ma cukier, herbatę i dobrą radę, jest potrzebny każdemu — Polakowi, Żydowi, bolszewikowi i komisarzowi. A być potrzebnym jest lepszą strategią niż być niewidocznym. Lepsza nawet niż rewolucja — bo rewolucja się kończy, a cukier jest zawsze.

*Chaim Rozenberg prowadził sklep w Brańsku przez całe dwudziestolecie międzywojenne — przetrwał inflację, sanację i trzy zmiany komendanta powiatowego. W 1939 przyszli Sowieci i znowu nacjonalizacja. W 1941 Niemcy. Rozenberg przeżył Zagładę ukryty w piwnicy polskiego sąsiada Jabłońskiego — tego samego, którego krowa uciekała przed nacjonalizacją. Żona Rywka i córka Ester zginęły w Treblince. Po wojnie wyemigrował z synem Dawidem do Izraela, gdzie otworzył mały sklep w Tel Awiwie. Dziennik opublikował syn w 1975 roku. Chaim zmarł w 1961, w sklepie, przy ladzie — jak chciał.*

## SIR ARTHUR PEMBERTON, KCMG

Emerytowany dyplomata brytyjski, były ambasador w Petersburgu

*The Poles have an extraordinary talent for being in the wrong  
place at the wrong time. That they survive at all is either  
a miracle or a divine oversight.*

### **11 LISTOPADA 1918**

Koniec Wielkiej Wojny. Europa zmienia się jak scena teatralna między aktami — kurtyna opada na jedno cesarstwa, podnosi się na drugie, a publiczność w łóżach nie jest pewna, czy to tragedia, czy farsa. Siedzę w klubie na Pall Mall z gazetą i kieliszkiem porto i zastanawiam się, ile z tego nowego porządku przetrwa dłużej niż mój kieliszek.

Polska wraca na mapę po stu dwudziestu trzech latach nieobecności. Musiałem wyjąć stary atlas sprzed Kongresu Wiedeńskiego, żeby przypomnieć sobie, jak wyglądały jej granice, zanim Prusy, Austria i Rosja podzieliły ją między siebie jak tort na imieninach. Dmowski i Paderewski w Paryżu — ten pierwszy to twardy negocjator z oczami lisa, który mówi po francusku lepiej niż większość Francuzów. Ten drugi to pianista światowej klasy, który gra na uczuciach Wilsona z taką samą wirtuozerią jak na Steinwayu. Together they want the 1772 borders. To znaczy: wszystko. Lloyd George będzie ubawiony.

## **STYCZEŃ 1919**

Konferencja paryska w pełnym rozkwicie — co oznacza, że wszyscy mówią jednocześnie i nikt nikogo nie słucha. Czytam relacje w «Times» i «Morning Post» i widzę to, co widziałem przez trzydzieści lat w dyplomacji: wielkie słowa na bankietach, małe czyny w kularach, i kelnerzy, którzy wiedzą więcej niż ambasadorowie.

Wilson mówi o samostanowieniu narodów z zapalem pastora na ambonie — piękne to, ale pastor nie będzie tu sprzątał po kazaniu. Clemenceau myśli wyłącznie o bezpieczeństwie Francji, bo Francja myśli wyłącznie o sobie, co jest zrozumiałe po czterech latach rzeźni. Lloyd George myśli o budżecie i o następnych wyborach, co jest zrozumiałe zawsze.

Dmowski przemawia z mocą człowieka, który wierzy w każde słowo — co jest rzadkością wśród dyplomatów i jednocześnie ich największą słabością. Paderewski gra na sentymencie, dosłownie i w przenośni, i trzeba przyznać, robi to skutecznie. Ale Brytania słucha jednym uchem. Poland is, for us, a buffer state. A perfect British dilemma: za silna — kłopot. Za słaba — inny kłopot.

## **CZERWIEC 1919**

Traktat wersalski podpisany. Dmowski złożył podpis w Sali Lustrzanej w Wersalu — tego samego dnia, w tym samym miejscu, gdzie Bismarck proklamował Cesarstwo Niemieckie w 1871 roku. Ironia historii nie jest delikatna — jest gruba jak tasak i równie subtelna.

Polska dostała zachodnie granice: Pomorze, część Śląska, Wielkopolskę. Niemcy są wściekli — ta wściekłość będzie fermentować pokoleniami, jak piwo, którego nikt nie chce pić, ale które nikt nie wylewa. Wschodnie granice? Nieustalone. There lies the rub, jak mawiał Shakespeare — a Shakespeare rozumiał politykę lepiej niż większość polityków. Na wschodzie czeka Rosja, czy to biała, czy czerwona, i nie zgodzi się na nic,

co oddaje Polsce ziemię, którą Rosja uważa za swoją — a Rosja uważa za swoją każdą ziemię, na której kiedykolwiek stał rosyjski żołnierz.

Przewiduję kłopoty na wschodzie. Przepowiednia łatwa jak pogoda w Londynie: zawsze deszcz.

## **KWIECIEŃ 1920**

Piłsudski zaatakował Kijów. Każdy gentleman w klubie ma opinię, i każda jest zła — ale podana z pewnością siebie, którą daje dobre wychowanie i ignorancja w sprawach zagranicznych.

Szanuję Piłsudskiego — naprawdę. To człowiek niezwykły: socjalista, żołnierz, mąż stanu, konspirator, więzień i komendant w jednej osobie. Ale to, co robi teraz, to nie strategia — to hazard. Gra w pokera kartami, które są pomięte i oznaczone, przy stole z graczami, którzy oszukują. Rosja — nieważne jaka, biała czy czerwona — nie pozwoli na polskie wojska w Kijowie. To jak wsadzenie ręki do ula i dziwienie się, że pszczoły żądłają. *The bees always sting.*

Harrington opowiadał mi przy obiedzie, że Foreign Office jest «zaniepokojone». Zaniepokojone. To brytyjskie słowo na «spanikowane, ale z dobrymi manierami». Zamówiłem porto i zmieniłem temat na krykieta, bo o krykiecie przynajmniej wiem, kto wygra.

## **LIPIEC 1920**

Bolszewiki pod Warszawą. Panika w europejskich gabinetach — choć oczywiście nikt nie używa słowa «panika», bo to byłoby nieeleganckie. Używa się słów takich jak «głębokie zaniepokojenie» i «poważna sytuacja», co jest dyplomatycznym odpowiednikiem krzyku.

Lloyd George na posiedzeniu rządu powiedział ponoć — Harrington znowu, ten człowiek jest kopalnią informacji i plotek w równych proporcjach — że jeśli Rosjanie wezmą Warszawę, to będzie koniec zachodniej cywilizacji. Cywilizacja. Wielkie słowo, za wielkie nawet na ten klub.

Anglia rozważa wysłanie pomocy Polsce. Nie żołnierzy — broń Boże, nie żołnierzy. Kredytu. Pieniędzy, za które Polacy kupią broń, którą przebiją się przez armię, która ich miażdży. Pomoc na odległość, bez plam na rękawiczkach. Quintessentially British. Curzon zaproponował linię demarkacyjną — Curzon Line — piękną kreską na mapie, tyle że ani Polacy, ani Rosjanie nie mają zamiaru jej respektować. Mapa to nie terytorium, jak mawiał mój profesor w Oxfordzie. Miał rację.

## **SIERPIEŃ 1920**

Cud nad Wisłą — tak to już nazywają, choć od cudu minął ledwie tydzień. Piłsudski zaatakował szesnastego sierpnia z południa, znad Wieprza, i rozbił Tuchaczewskiego w ciągu tygodnia. Rosjanie w pełnym, chaotycznym odwrocie — dziesiątki tysięcy jeńców, porzucony sprzęt, rozpadające się dywizje. Zamówiłem drugiego porto i przeczytałem telegram trzy razy, zanim uwierzyłem.

Fascynujące z militarne go punktu widzenia. Wyjąłem mapy i analizowałem przez godzinę. Kontruderzenie ze skrzydła, w odsłoniętą flankę — odważne, ryzykowne, graniczące z szaleństwem. I zadziałało, bo polscy kryptolodzy złamali sowieckie szyfry radiowe. Wiedzieli, gdzie są luki w szyku Tuchaczewskiego, zanim sam Tuchaczewski to zauważył. To nie cud — to matematyka. Ale «Cud nad Wisłą» brzmi lepiej w nagłówkach niż «Przełamanie kryptograficzne nad Wisłą».

Weygand, Francuz, przypisuje sobie autorstwo planu. Piłsudski milczy. A gentleman always remains silent when his victory is stolen. Ale historia kiedyś to wyprostuje. Albo nie — historia też bywa stronicza.

## **WRZESIEŃ 1920**

Po bitwie wszystkie gazety mówią o polskim zwycięstwie — te same gazety, które miesiąc temu pisały nekrolog Polski. Tak, to było zwycięstwo, i być może najważniejsze od Waterloo, jeśli chodzi o konsekwencje dla Europy. Gdyby Tuchaczewski wziął Warszawę, Niemcy były-

by następne — robotnicze rady w Berlinie czekały na iskrę. Rewolucja dotarłaby do Renu, a potem do Kanału La Manche, a potem — cóż, a potem kelnerzy w moim klubie pewnie nosiliby czerwone kokardy zamiast krawatów.

Ale zwycięstwo na polu bitwy to nie zwycięstwo w grze długoterminowej. Polska teraz będzie chciała granic, które przekraczają jej siły — bo udowodniła, że potrafi walczyć, i weźmie siłą to, czego nie dostanie dyplomacją. Niemcy będą żywić urazę. Rosja będzie czekać na rewanż — Rosja zawsze czeka. Polska stanie się silniejsza, niż pozwalają na to jej sąsiedzi, i słabsza, niż wymaga jej ambicja.

This is not the end. To jest przerwa między aktami — i następny akt nie będzie komedią.

## **MARZEC 1921**

Traktat ryski podpisany. Granica wschodnia ustalona — dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Linii Curzona, co oznacza, że Curzon nakreślił swoją linię po nic. Polska dostała więcej, niż ktokolwiek się spodziewał, ale mniej, niż chciała — co jest definicją kompromisu w słowniku dyplomatycznym.

Dmowski ponoć jest rozczarowany — wołałby mniejsze terytorium, ale bardziej polskie etnicznie, spójne, obronne. Piłsudski chciał więcej na wschodzie: federację, bufor, sojusz z Ukrainą. Ironia godna Shakespeare'a: Dmowski, nacjonalista, wołałby mniejszą Polskę, a Piłsudski, socjalista i internacjonalista, stworzył większą. Polityka ma poczucie humoru, którego politykom zwykle brakuje.

Czy ta Polska przetrwa? Harrington mówi, że tak — ale Harrington jest optymistą, co w dyplomacji jest wadą zawodową. Ja mówię: przetrwa, dopóki sąsiedzi jej na to pozwolą. A sąsiedzi mają krótką pamięć i długie ramiona.

## **MAJ 1921**

Plebiscyt na Górnym Śląsku i — naturalnie, jak deszcz po pikniku — trzecie z kolei powstanie. Korfanty, kolejny polski lider z ogniem w oczach i planem w kieszeni, organizuje zbrojne wystąpienie. Polska chce kopalń, hut, fabryk — bo mieć armię bez przemysłu to jak mieć orkiestrę bez instrumentów. Niemcy mówią o niesprawiedliwości i traktatowym bezprawiu. Francja chce silnej Polski przeciwko Niemcom, bo Francja zawsze chce kogoś przeciwko Niemcom.

A Brytania? Brytania jest w środku tego wszystkiego bez wyraźnego stanowiska, co jest naszą narodową specjalnością. Lubimy obserwować z boku, popijając herbatę, i wydawać osądy moralne *ex post facto*. Lloyd George powiedział ponoć — cytaty krążą po klubie jak wirus po szpitalu — «Poland is a problem that grows with every solution». Trudno o lepsze podsumowanie. I trudno o gorszy komplement — bo z brytyjskich ust «problem» brzmi jak diagnoza terminalna.

## **PAŹDZIERNIK 1921**

Zmęczony jestem. Nie fizycznie — dyplomaci nie męczą się fizycznie, to przywilej naszego zawodu. Zmęczony intelektualnie, zmęczony duchowo, zmęczony tym wiecznym korowodem granic, traktatów, powstań, plebiscytów i kompromisów, z których żaden niczego nie kończy, a każdy otwiera drzwi do następnego problemu.

Polska istnieje. To fakt — może jedyny pewny fakt w tej części Europy, gdzie fakty zmieniają się z porami roku. Ale istnieje w miejscu, w którym każdy sąsiad chce kawałek tego, co ma. Jest za silna, żeby ją zignorować, i za słaba, żeby sama się obroniła bez sojuszników. Jest zbyt ambitna, żeby się zadowolić tym, co dostała, i zbyt dumna, żeby ustąpić komukolwiek. To jest problem bez rozwiązania — przynajmniej takiego, które mieści się w jednym traktacie i jednym pokoleniu.

Historia będzie o tym mówić długo — dłużej niż ja będę słuchał. A ja pójdę na spacer do klubu, zamówię porto i poczekam na następny kryzys. He won't be long in coming. They never are.

*Sir Arthur Pemberton zmarł spokojnie w 1934 roku w swoim londyńskim domu przy Eaton Square. W latach dwudziestych obserwował z narastającym pesymizmem europejskie próby stabilizacji i polską politykę. Jego dziennik, opublikowany pośmiertnie w 1936 jako «Letters from the Armchair», zyskał wąski krąg czytelników wśród dyplomatów i historyków. Odkryty ponownie w 1993 przez dr Eleanor Rothschild z Oxfordu, stał się ważnym źródłem brytyjskiej percepcji Europy Wschodniej w epoce przełomów. Wnuk, Sir James Pemberton, był ambasadorem w Warszawie w latach 1978-1982.*

- 11 listopada 1918: Rada Regencyjna przekazuje Józefowi Piłsudskiemu pełnię władzy wojskowej. Polska ogłasza niepodległość po 123 latach rozbiorów.
- 1 listopada 1918: Ukraińska Armia Halicka przejmuje Lwów. Rozpoczynają się walki polsko-ukraińskie o Galicję Wschodnią, trwające do lipca 1919 roku.
- 27 grudnia 1918: Przyjazd Ignacego Jana Paderewskiego do Poznania wywołuje Powstanie Wielkopolskie. Polacy walczą z niemieckim Grenzschutz Ost o włączenie Wielkopolski do odrodzonej Polski.
- 16 lutego 1919: Rozejm kończy Powstanie Wielkopolskie. Wielkopolska zostaje włączona do Polski, co potwierdzi traktat wersalski.
- 28 czerwca 1919: Podpisanie traktatu wersalskiego w Paryżu. Polska uzyskuje międzynarodowe uznanie granic zachodnich, choć wschodnie pozostają nieustalone.
- 25 kwietnia 1920: Piłsudski rozpoczyna wyprawę kijowską w sojuszu z ukraińskim atamanem Symonem Petlurą. Polacy zajmują Kijów 7 maja.
- Maj–lipiec 1920: Armia Czerwona pod dowództwem Michaiła Tuchaczewskiego przeprowadza potężną kontrofensywę. Sowieci zdobywają Mińsk, Wilno, Grodno i Brześć, zbliżając się do Warszawy.
- Lipiec 1920: Sowieci tworzą Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski (Polrewkom) w Białymstoku — załączek planowanego rządu komunistycznego w Polsce.

- 24 lipca 1920: Generał Maxime Weygand przybywa do Warszawy na czele Misji Międzysojusznicej. Wbrew późniejszemu mitom nie jest autorem polskiego planu kontrofensywy.
- 12–25 sierpnia 1920: Bitwa Warszawska — Cud nad Wisłą. Piłsudski uderza 16 sierpnia z południa, rozbijając sowieckie linie. Polscy kryptolodzy łamią sowieckie szyfry radiowe. Armia Czerwona ponosi katastrofalną klęskę.
- Wrzesień–październik 1920: Bitwa Niemeńska i pościg za resztkami Armii Czerwonej. Dziesiątki tysięcy sowieckich żołnierzy trafia do polskiej niewoli lub zostaje internowanych w Prusach Wschodnich.
- 18 marca 1921: Podpisanie traktatu ryskiego między Polską a Rosją Sowiecką. Granica wschodnia Polski przebiega około 250 km na wschód od Linii Curzona.
- 20 marca 1921: Plebiscyt na Górnym Śląsku. Wyniki są niejednoznaczne, co prowadzi do III Powstania Śląskiego pod dowództwem Wojciecha Korfanteo (maj–lipiec 1921).
- Czerwiec 1922: Liga Narodów przyznaje Polsce większą część uprzemysłowionego Górnego Śląska, w tym kopalnie i huty, co wzmacnia gospodarcze fundamenty młodego państwa.
- Lata 1918–1922 kosztowały Polskę dziesiątki tysięcy zabitych i rannych. Odrodzone państwo musiało jednocześnie walczyć na wielu frontach, budować administrację od zera i zjednoczyć trzy zabory o różnych tradycjach prawnych, ekonomicznych i kulturowych. To, że się udało, pozostaje jednym z najbardziej zdumiewających rozdziałów europejskiej historii XX wieku.